

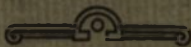
Włodzimierz Trąpczyński.

Epizody Historyczne

Serja pierwsza.

Z portretem autora i ilustracjami w tekście.

TREŚĆ. Emisarjusz Centralizacji Wersalskiej. — Pohulanka partyzancka i „Rzeczpospolita Poznańska”. — Juljusz Słowacki, jako agitator rewolucyjny w Poznaniu. — Ksiądz-apostata i fanatyk demokratyczny. — Cicha miłość kobiety wielkiego serca. — Rojenia czterech poetów o Polsce idealnej. — Gorszący zatarg nad prochami królów polskich i samobójstwo magnata wielkopolskiego. — „Marcowe dni” i sojusz prusko-polski w r. 1848. — Wielkopolski! Muciusz Scaevola — Wynalazca płynu do pletnowania powstańców polskich. — Konfraternia kupiecka w Poznaniu.



WARSZAWA

Skład główny: Księgarnia E. Wende i S-ka,
w Łodzi: Księgarnia Ludwika Fiszera,
Lwów: H. Altenberg.

1914.

EPIZODY HISTORYCZNE.

5

WŁODZIMIERZ TRAMPCZYŃSKI.

EPIZODY HISTORYCZNE

Luźne kartki
na tle dziejów W. Ks. Poznańskiego.

Z portretem autora i ilustracjami w tekście.

Serja pierwsza.



WARSZAWA

Skład główny Księgarnia E. Wende i S-ka,
w Łodzi, Księgarnia Ludwika Fiszera,
Lwów, Księgarnia H. Altenberga.

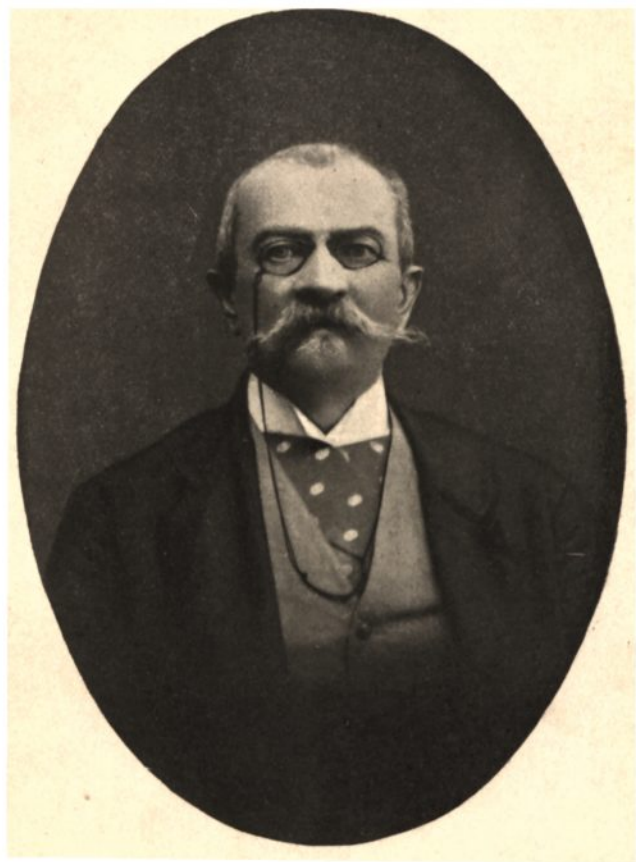
—
1914.

B-76120

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Wzrost 10

K. 681/60/56



Mr. J. M. Allen, Jr.,
New York City

Jeżeli kiedy pojawi się u nas mrówczą pracowitością i cierpliwością obdarzony bibliograf, który na wzór Karola Estrejchera opracuje suchy wykaz prac, zawartych w tysiącach roczników polskiej prasy tygodniowej i codziennej, to wówczas dopiero wyjdzie w całej pełni na wierzch ta niezbita prawda, iż każde pismo jest jakimś straszliwym narzędziem, rozgniatającem wszystko na proch, jakimś stworzeniem, nigdy nie nasyconem i ustawicznie domagającym się świeżej, mniej lub więcej pożywnej stawy.

Pomimo, że sentencja starożytnych Rzymian głosi: *verba volant, scripta manent*, zawód publicysty wcale nie stwierdza tego, iż co raz było napisane i wydrukowane, pozostać musi jako ślad trwałe i niezatarte; przeciwnie, dola dziennikarza ma wiele podobieństwa do doli aktora: obaj żyją krótko w pamięci ludzkiej.

Historja każdej sceny polskiej posiada chlubne karty, na których błyszczą nazwiska luminarzy sztuki dramatycznej—w historii każdego niemal tygodnika,

lub dziennika polskiego znajdziemy również *numery*, czy *poszyty*, z których wydawcy i redaktorzy mogli być dumni. Ale zarówno ci aktorzy, z entuzjazmem oklaskiwani, jak i ci autorzy, z zapalem czytani, przechodzą, mijają szybko, podobnie do obrazów w kinematografie. Sława gry aktorskiej, uznanie dla artykułu dziennikarskiego trwają najczęściej nie lata całe, ani nawet miesiące, ale dni zaledwie, lub zgoła godziny. Teatr, chcąc istnieć i prosperować, musi ciągle odświeżać swój repertuar i swoje siły wykonawcze — pismo, chcąc się utrzymać na pewnej wysokości i stawić czoło wzmagającej się ustawicznie konkurencji, musi dbać o ożywienie łamów i coraz świeży pokarm dla ciągle zgłodniałej rzeszy czytelniczej.

Puszczony w ruch młyn dziennikarski miele bez przerwy, pod koła zaś jego dostają się tak samo ziarna pośledniejszego gatunku, jak i te, które nie zasłużyły na przerobienie ich na mąkę, lecz powinny były być rzucone na dobrze spulchnioną glebę, ażeby z nich wybijał plon bujny. Innemi słowy mówiąc, w rocznikach prasy polskiej, staranie w nich poszukawszy, odkryćby mógł pracowity bibliograf niezliczoną wprost ilość prac, które nie posiadały jedynie chwilowej wartości, w które publicysta włożył znaczną część swojej wiedzy, talentu, a których wprost szkoda, ażeby ginąć miały w zapomnienia łą, zniknąć i podzielić los efemeryd, los chwałaszczy, cieszących się życiem zaledwie przez ciąg jednego miesiąca.

Kompletów pism codziennych nie zwykło się u nas przechowywać, robią to jedynie specjalnie zamiłowani kolekcjoniści i biblioteki publiczne. Nawet roczniki tygodników i miesięczników rozpraszają się najczęściej, przeważnie więc te utwory, które tam były pomieszczone, giną bezpowrotnie.

Do tych niewesołych refleksji i do takich porównań doli publicysty z dolą aktora nakłoniło autora tej książki rzucenie okiem wstecz na trzydziestoletnią działalność własną w zawodzie dziennikarskim.

Nie liczyłem artykułów i felietonów, które wyszły w ciągu tego czasu z pod mojego pióra, sądzę jednak, że nie omylę się, gdy cyfrę określe na 12,000 prac mniejszych i większych rozmiarów, i—oczywiście—mniejszego lub większego znaczenia. I czyż wśród takiej pokaźnej gromady nie miałyby się znaleźć nic, co zasługiwałoby na trwalsze przechowanie w literaturze?

Ha! gdyby tak być miało, to zawód publicysty musiałby się stać jednym z najopłakanych na świecie. Na szczęście tak nie jest, a na dowód przytoczę zdania trzech ludzi, których kompetencji pod tym względem nikt chyba nie może kwestjonować. Oto prof. Tadeusz Korzon zwrócił się w swoim czasie do mnie, ażeby mu nadesłał drugi egzemplarz artykułów o „Konfraterni kupieckiej w Poznaniu“, gdyż swój egzemplarz doręczył Bibliotece Ordynacji Zamoyskich, a sam chciałby tę rzecz posiadać i o niej obszernie napisać. Oto ś. p. Wa-

lery Przyborowski w liście, który przechowuję jak drogą pamiątkę, zachęcał mnie do wydania osobno „nowelkowo-historycznych szkiców z dziejów Wielkopolski“, bo, jak pisał, „historja W. Ks. Poznańskiego i życie wewnętrzne tej dzielnicy są u nas na ogół mniej znane, niż dzieje i dola Lapończyków“. „Ja sam—czytamy dalej—dopiero teraz dowiedziałem się o męczeńskiej śmierci Babińskiego i Kurnatowskiego“.

Na te, tak życzliwe słowa zachęty odpowiedziałem prośbą o napisanie wstępu do tego mojego, jubileuszowego wydawnictwa, co ś. p. Przyborowski przyrzekł chętnie i tylko śmierć nieoczekiwana nie pozwoliła mu dotrzymać przyrzeczenia.

Po ukazaniu się w ówczesnej „Gazecie Polskiej“ felietonu o utarczce rymowanej czterech poetów, znany poeta i krytyk p. Zdzisław Dębicki wyraził się uprzejmie, że ten numer „Gazety“ należy do takich, których się nie niszczy, lecz przechowuje w swoich zbiorach.

Złączywszy te trzy opinie ludzi wybitnych w nauce i literaturze, zrobiłem przegląd różnych prac moich i wybrałem garść felietonów, ażeby je podać w osobnej książce. Czy wybór uczyniłem trafny, nie moją rzeczą przesądzać, ocena bowiem nie do mnie należy, tu powiem tylko:

„Feci, quod potui, faciant meliora potentes“.

Włodzimierz Trąmpczyński.



Emisarjusz Centralizacji
== Wersalskiej. ==



Centralizacja Wersalska, przygotowując wybuch zbrojny, który nastąpić miał jednego i tego samego dnia i o jednej i tej samej godzinie we wszystkich dzielnicach Polski równocześnie, zawczasu już, bo na lat pięć naprzód przygotowywać zaczęła grunt odpowiedni. W tym celu około roku 1841-go przybywali w różnych odstępach czasu emisariusze, których zadaniem z jednej strony było wybadanie usposobienia w kraju i zdanie z tego relacji zarządowi centralnemu, z drugiej budzenie ułności w narodzie do przygotowań czynionych przez emigrację. Ilu takich emisariuszów przebiegało kraj polski od krańca do krańca, trudno dziś obliczyć. O ludziach, wyjątkowemi obdarzonych talentami konspiracyjnemi, o nieszczęśliwym Teofilu Wiśniewskim, o Janie Alcyacie, Heltmanie, Rettlu itp. musiały się przechować ślady, to jednak były słońca, obok zaś nich krążyły całe sznury małych, a przecież dla akcji rewolucyjnej niezmiernie pożytecznych satelitów. Ci zginęli

w fali niepamięci, o ile ich później nie wydobyły na wierzch inne wypadki, albo np. rozprawa sądowa podczas procesu w Moabicie.

Do takich mniejszych osobistości, któremi posługiwała się Centralizacja, licząc na ich zapał, wiarę, głęboką miłość ojczyzny i prawy, niezłomny charakter, należał pomiędzy innymi młody, w pełni sił męskich pozostający emisariusz Babiński. Imienia nie podajemy, ani bowiem w „Wizerunkach“ Zienkowicza, ani u prof. Marcelego Moty'ego w jego „Przechadzkach“, ani wreszcie na liście 254 oskarżonych berlińskich nie mogliśmy odszukać tego imienia. Skąd przybył, gdzie się urodził i w którym roku zjawił się w Wielkopolsce? — również nie jest rzeczą wyjaśnioną, to tylko pewna, że Babiński Poznańczykiem nie był. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa ród swój wywodził z Królestwa Polskiego, gdzie osób tego nazwiska mamy wiele i gęsto osiadłych.

Agitacja emisariuszów paryskich, prowadzona często z bezprzykładną wprost brawurą, wydała plony. „Naród palił się żądzą schwywania za broń“, powiada Alcyata i ostatecznie spotrzeżono w Paryżu, że dalsze czekanie i odwlekanie stało się niemożliwe. Reszta wiadoma. Ruch w Krakowie, junacko-zuchwały napad Trąpczyńskiego na Poznań, śmieszna wyprawa Bronisława Dąbrowskiego na Siedlce; a w dalszem następstwie zgrozą przejmująca rzeź w Galicji—oto smutne rezultaty kilkoletniej pracy agitacyjnej.

Emisarjusze, czynni na ziemi poznańskiej, albo dostali się pod klucz i wraz z innymi wystąpili w procesie Moabickim na ławie oskarżonych, albo też rozpierchli się, zacierając skwapliwie wszelkie po sobie ślady. Inaczej postąpił Babiński. Ten człowiek młody, zapalny, miał w sobie tę zaciętość patrytyczną, która nie uznaje niebezpieczeństw i która nie pozwala uwierzyć, że piękne rojenia za jednym podmuchem mogą się rozprysnąć, jak bańka mydlana. Taka zaciętość wytwarza często bohaterów, ale częściej powoduje bezpotrzebny zupełnie przelew krwi.

Dziwnie szczęśliwym zbiegiem okoliczności Babiński po wykryciu wszystkich nici i po nieudanym zamachu na Poznań, nie wpadł w ręce władz pruskich. W tych warunkach instynkt samozachowawczy, jeżeli już nie rozum chłopski, nakazywał opuścić W. Ks. Poznańskie, gdzie grunt palił się pod nogami, a skoro już nasz emisarjusz nie chciał wyrzec się marzeń, to mógł czekać sposobniejszej chwili. Ale ten człowiek wierzył ciągle, że sprawa nie jest, że nie może być straconą i że to, co się nie udało w marcu 1846-go roku, to musi się powieść w rok lub dwa później. Ani myślał opuszczać Księstwa, ani mu w głowie powstało wyrzec się dalszej agitacji. Więc też działał dalej, uwijał się po miastach, wszędzie nowe starając się budzić nadzieje. Na całym obszarze W. Ks. Poznańskiego zaprowadzono stan wojenny, groźny dla wszystkich mieszkańców, ale szczególnie groźny dla emisarjuszów,

ściganych, prześladowanych na każdym kroku. Pomimo to Babiński, mogąc doskonale uciec, pozostał i wciąż był czynny. Rzecz naturalna, że wobec rozciągniętej przez władzę pruską czujności, życie emisariusza zawisło na włosku. A jednak w ten sposób, wiodąc życie koczownicze, przebył cały rok 1846, całą wiosnę, lato i jesień 1847-go, wymykając się szczęśliwie z rąk ścigających go żandarmów.

Nadeszła jednak zima, wyjątkowo ostra zima, a wtedy położenie tego niedobitka stłumionej świeżo konspiracji stało się o wiele gorsze. Cóż go to jednak wszystko obchodziło, jego, który żył ideą i dla niej wyłącznie? W kozuszkach i długich butach kręcił się dalej po kraju, zachęcał, przemawiał, zagrzewał, budził nadzieje w sercach.

Podczas takiej wędrówki od dworu do plebanji i chaty, Babiński zatrzymał się w grudniu 1847-go w karczmie pod Rogoźnem, ażeby tutaj rozgrzać zeszytniałe od mrozu członki. W karczmie zastał kilku ludzi, pomiędzy innymi rzeźnika z Rogoźna, przybyłego w towarzystwie dwóch psów złych, zajadłych. Wierny swoim zasadom emisariusz, nawet tutaj, w tej karczmie przydrożnej, nie chciał pozostać bezczynnym i zaczął przemawiać gorąco, namiętnie, kreśląc obraz lepszej doli narodu w przyszłości.

Na tę chwilę nadszedł wypadkiem żandarm pruski i objaśniony przez rzeźnika, chciał zaarestować Babińskiego. Widząc niebezpieczeństwo,

emisariusz sięgnął po rewolwer, strzelił i korzystając z zamieszania chwilowego, wypadł na podwórze.

Tuż za karczmą rozciągało się jezioro, nie namyślając się przeto długo, przeskoczył przez parkan i wpadł na lód. Zdawało się, że ujdzie pogoni, dopędzi do miasteczka Rogoźna, które leży zaraz za jeziorem i tam znajdzie schronienie. Niestety! zawzięty rzeźnik (jaka szkoda, że prof. Motty nie przekazał nam nazwiska rzeźnika tego „Polaka“) poszczuł owe psy zajadłe. Zwierzęta dopędziły biednego Babińskiego, a rzucawszy mu się do gardła, powaliły uciekającego.

Niebezpieczny emisariusz w kajdanach odstawiony został pod silną eskortą do Poznania i sprawę wytoczono przed sądem wojennym, którego procedura zawsze i wszędzie jest krótka. Ogłoszony wyrok opiewał na „śmierć przez rozstrzelanie“.

Wśród całej ludności polskiej, a nawet nie polskiej Poznania nastąpiło przygnębienie. Pomimo jednak, że wiadano, iż Babińskiemu zarówno agitacja, jak i ostatni strzał do żandarma nie ujdzie płazem, nikt nie chciał w to wierzyć, ażeby wyrok naprawdę został wykonany. I rzeczywiście, cokolwiek powiedzieć można o perfidji Prusaków w gnębieniu Polaków, to jedno pozostanie faktem, że krwią polską z okrucieństwem nie szafowali nigdy. Przecież Mierosławski z towarzyszami skazany został na „ucięcie głowy toporem“, ale o wykonaniu takiego wyroku nie myślano nawet w chwili jego ferowania. Rząd pruski chwycił się innych środ-

ków zgładzenia Polaków, ale krwi nie przelewał dla samej tylko żądy mordy, jak to czyniono gdzieindziej. Więc i teraz liczone na to, że Babińskiego dosięgnie łaska, a tem więcej można się było ludzi taką nadzieją, że żandarm nie odniósł od strzału w karczmie żadnej rany.

Nadzieje zawiodły. Rząd postanowił spełnić wyrok „dla odstraszenia innych“. W jasny, słoneczny, choć mroźny dzień zimowy wyprowadzono Babińskiego na Plac Działowy, niemal w środku miasta położony. Blaski słoneczne odbijały się w śniegu, który zasłał grubą warstwą plac cały, gdy na miejsce kaźni przyprowadzono nieszczęśliwego emisariusza—zapaleńca. Tłumy ludu skupiły się na placu i przyległych chodnikach, z zapartym oddechem oczekując na ową straszliwą chwilę.

Na widok skazańca te tłumy wybuchnęły głośnym szlochem, ale on sam, Babiński, jak przyznają nawet pisma niemieckie z tych czasów, „do końca zachował wielką godność i zdumiewającą odwagę. Nawet nie drgnął, gdy ujrzał przed sobą wycelowane lufy karabinów i uśmiechnięty przesyłał ręką tłumom ostatnie pożegnanie“.

„Na huk rotowego wystrzału—powiada inne, polskie źródło— powstał krzyk tak przeraźliwy, że chyba musiał przebić niebo i dostać się do tronu Przedwiecznego“. Stało się to wszystko tuż przy kościele, który rząd pruski, pomimo rozpaczliwego oporu nadbiegłego z pobliskich okolic Poznania ludu wiejskiego, odebrał niedawno przedtem Kar-

melitom Bosym i zamienił na ewangelicki kościół garnizonowy.

Być może, iż zasługi tego Babińskiego były niewielkie, być nawet może, iż zimny, suchy historyk tę jego zaciętość agitacyjną uzna za szkodliwe w danym momencie wicherzycielstwo. Czyż jednak nazwisko jego nie powinno przejść do potomności, czyż ten patriota nie ma mieć prawa, ażeby bodaj w kilkadziesiąt lat po jego zgonie męczeńskim nie wspomniano o tem? Tem więcej mu się to należy, że egzekucja ta na Placu Działowym była jedyną egzekucją, dokonaną w Poznaniu na polskim „przestępcy“ politycznym.

Ale na tem się nie kończy sprawa nieszczęśliwego emisariusza: miała ona swój epilog bolesny, miała swoją „oprawę“, niezmiernie piękną i wzruszającą.

Kiedy w Poznaniu dowiedziano się, że los Babińskiego jest zdecydowany, wierzący szczerze ogół tamtejszy postanowił „przyjść w pomoc duszy tego biedaka“, jak powiada feljetonista ówczesny, a chyba jeden z najpierwszych feljetonistów polskich wogóle, pisujący pod pseudonimem „Wojtusia“. Staraniem znakomitej Polki, dziś mało znanej, a zaiste godnej stać w pierwszym rządzie obok Klaudji Potockiej, Emilji Szczanieckiej i innych, staraniem Bibianny Moraczewskiej zamówiono mszę św. w kościele św. Marcina w sam dzień egzekucji. Nabożeństwo na intencję Babińskiego odbyło się rano, obok zaś panny Moraczewskiej, około jego

urządzenia zabiegały panny: Dobrzyńska i Bolewska. „Ponieważ organy były w nieporządku — mówi Wojtuś — przyniesiono do kościoła harmonium; grała na niem pani Kurnatowska, Ponińska z domu, a śpiewała panna Jeziorowska i zdaje mi się, że było też tam trochę „Boże coś Polskę“. Owa panna Jeziorowska, siostrzenica Ryszarda Berwińskiego, była to podług „Wojtusia“ „całkiem ładna panna, wysmukła blondynka, z pociągłą, regularną twarzą, spokojnem zawsze i skromnem spojrzeniem, oraz i pewną dystynkcją w poruszeniach. Śpiewała dobrze, głos miała silny i dźwięczny. Ten śpiew owego razu na złe jej wyszedł.“

A to „wyjście na złe“, dodamy już od siebie, zdarzyło się właśnie po owem nabożeństwie na intencję skazańca Babińskiego. To, że „było też tam trochę „Boże coś Polskę“, policja uznała za zbrodnię niepospolitą. Zaczęło się śledztwo i od panny Jeziorowskiej zażądano, ażeby wyjaśniła, kto zagrał tę pieśń, gdy zaś tego uczynić nie chciała, wtrącono ją do więzienia i przetrzymano tutaj 6 tygodni. Badana wielokrotnie, nie wydała nikogo ta dzielna kobieta.

Śmierć emisariusza spadła jak kamień na serca i mózgi. Mówiono o niej długo. Ale przyszły nowe wypadki, rozbudziły się nowe nadzieje i Babiński przestał zajmować ogół. Dziś nawet mogiły jego nie ma śladu, niechaj więc przynajmniej nie zaginie pamięć o nim.



Pohulanka Partyzancka
i „Rzeczpospolita Poznańska”.



Z nadejściem wiosny 1848-go roku, jak wiadomo, powiały z zachodu nowe prądy, zwiastujące wolność, więc też i w W. Ks. Poznańskim po przygnębieniu, jakie zapanowało wskutek nieudanego powstania z r. 1846-go, rozpromieniło się wszystko na około. W tej nowej „wiosnie ludów“ rozgrzało się, rozpaliło wszystko żądzą działania, a tym rozgrzanym, rozpalonym umysłem wydawało się szczerze, iż, jak powiada historyk owych czasów, „cały świat się trzęsie, fale rewolucji idą coraz silniej, coraz dalej“, i że „nadeszła chwila zbawcza dla narodu, i każdemu dana jest możliwość odznaczenia się w posłudze narodowej“.

A odznaczyć się w tej posłudze narodowej mógł naprawdę każdy. Najpierw opracowanie petycji do króla pruskiego wymagało ludzi rozumu; dalej poprowadzenie układów z ludnością niemiecką i żydowską powierzone być musiało siłom wybitnym; dalej jeszcze wytknięcie linji, po której odstęp kroczyć miały dążenia Polaków poznańskich,

ujęte być musiało w ręce ludzi odznaczających się jasnością poglądów, a wreszcie, gdy wszystkie już nici układów zostały zerwane, dla jednostek rzutkich, wyrastających głową ponad tłum szary, nastęrczało się pole pod Miłostawiem, Książem i Wrześnią...

Nie możemy tutaj w ulotnych szkicach, mających na celu jedynie przechowanie dla potomnych niektórych „epizodów“ z owych czasów, kreślić całych dziejów od roku 1846-go do 1848-go WKs. Poznańskiego, żądnych zaś całości obrazu odsyłamy bądź do innej pracy naszej p. t. „Dwa powstania poznańskie“, bądź też do historii roku 1848-go d-ra Kazimierza Rakowskiego *), tu zaznaczymy tylko, że po utraceniu ostatniego płomyka nadziei zdobycia praw przynależnych, po chybionem zawarciu ugody w Jarosławcu, Poznańczycy schwycili za broń. Powstanie trwało krótko i stoczono pod wodzą Ludwika Mierosławskiego zaledwie trzy bitwy, w dniach 28-ym i 29-ym kwietnia, oraz 2-im maja 1848-go roku. Już po pierwszej bitwie pod Książem, gdzie Polacy uledez musieli przemocy i gdzie poległ znakomity wojak, major Dąbrowski, w Poznaniu spostrzeżono, że sprawy niepomysłny przybierają obrót.

Wówczas znalazło się dwóch ludzi o niezwykłych wprost organizacjach umysłowych, którzy po-

*) Włodzimierz Trąpczyński: „Dwa powstania poznańskie 1846 1848“. Warszawa „Tania Biblijoteka dla wszystkich“.

*) Dr Kazimierz Rakowski. „Historja powstania r. 1848“. Poznań.

stanowili nadać powstaniu nową, młodzieńczą siłę żywotną. Nazwiska tych dwóch ludzi godne są przejścia do historii, brzmiały zaś one: Jakób Krauthofer-Krotowski i Włodzimierz Wilczyński. Szczególniej Krauthofer zasługuje na osobną mo-



Jakób Krauthofer-Krotowski.
Prezydent pięciodniowej Rzeczypospolitej Poznańskiej.

nograję. Syn Niemca, ubożego rzemieślnika z miasteczka Bnina, wychowany został przez matkę Polkę w duchu nietylko polskim, ale patriotycznie polskim. Nadzwyczajnie, nawet fenomenalnie zdol-

ny, już w szkółce miejskiej wykazał taką bystrość i żywość umysłu, że matka marzyła o wyższym wykształceniu dla dziecka. Brak środków stanął jednak temu na przeszkodzie i młody chłopiec oddany został jako zwykły pisarek do kancelarii adwokata Przepadkowskiego. I tu znów okazał swoje zdolności fenomenalne. Już po roku tak się obeznał z procedurą i językiem sądowym, że imponował zawodowym nawet prawnikom. Ale to nie zaspakajało ambicji młodzieńca. Równocześnie uczył się sam, bez pomocy przeszedł cały kurs gimnazjalny, a przygotowawszy się odpowiednio, zdał świetnie egzamin maturitatis. O głodzie i chłodzie odbył następnie studja uniwersyteckie na wydziale prawnym, potem urzędował krótko w sądzie i wreszcie osiadł w Poznaniu jako adwokat, rzucając się od razu w wir rozpolitykowania. Ten potomek Niemców rozpoczął od tego, że przybrał sobie drugie nazwisko „Krotowski“ i w osobnej broszurze wyjaśnił, dlaczego stając się Polakiem, musi także nawet w nazwisku to zaznaczyć. Również w broszurze oznajmił, że odtąd nie będzie używał nazwy łacińskiej „adwokat“, lecz tytułować się zacznie „rzecznikiem“, co też do dzisiejszej pory czynią adwokaci poznańscy.

Już to wskazuje, że Krauthofer-Krotowski był osobistością oryginalną, typem, wyróżniającym się wybitnie. Gdy zaś dodamy jeszcze, że był to człowiek o temperamentie południowca, wiecznie zajęty, nigdzie nie mogący znaleźć odpoczynku, i że

mowami swojemi, któremi rąbał i miażdżył stronę przeciwną, zdobył sobie wkrótce rozgłos, możemy sobie wyobrazić, iż bez Krauthofera w takich czasach ogólnego konspiratorstwa nic dzieć się nie mogło.

Godnego siebie współdziałacza znalazł Krotowski w Włodzimierzu Wilczyńskim, synu za możnego obywatela ziemskiego, młodzieńcu tak dobrego serca, że literalnie „potrzebnickiemu razu pewnego oddał ostatnią koszulę“. „Palił się on — mówi kolega Wilczyńskiego z uniwersytetu — miłością ojczyzny i ciągle rozmyślał tylko nad tem, jak jej dopomódz, co dla niej zrobić, jak się współrodakom przysłużyć. Nie wątpił o niczem, najmniej zaś o swoich zdolnościach i wyższem powołaniu. Wszystko dla niego było możebne, a zawsze mieszała się w jego głowie niejasna rzeczywistość z zupełnemi marzeniami“.

Otóż takich dwóch ludzi zapalnych, dobrawszy sobie do pomocy dusze pokrewne, postanowiło wlać nowe soki i wpuścić nowy zapas krwi do żył upadającego po trzech bitwach powstania. „Dictum factum“. Natychmiast zwołano też osobnemi „wiciami“ młodzież do Poznania. Stawili się najliczniej na wezwanie gimnaziści, czeladnicy, wychodźcy z Królestwa Polskiego, a nie zabrakło także t. zw. „landwerzystów“, czyli ludzi, którzy odbyli już swoją powinność wojskową i znali się nieco na sztuce wojskowej. Krauthofer i Wilczyński oddali wszystko, co posiadali, pierwszy sprzedał nawet

meble, choć był już wtedy człowiekiem żonatym, i pieniądze, stąd otrzymane, przeznaczył na uzbrojenie partyzantów. Fundusze te nie mogły wystarczyć, więc zaledwie połowa sformowanego oddziału posiadała jakąś mizerną strzelbinę, rewolwer, kordelas lub pałasz, dla reszty musiały wystarczyć długie tyczki.

Ale to drobnostka! Takie bagatelki nie odstraszały ani Krauthofera, ani Wilczyńskiego. Przecież broń i amunicję tak łatwo zdobyć można na nieprzyjacielu! Potrzeba tylko chcieć i energicznie zabrać się do rzeczy.

Ilu ich tam było, tych ochotników, niewiadomo, to pewne jednak, że gromada była bardzo spora, może nawet z górą 1,000 ludzi wynosząca. Nad oddziałem objął dowództwo Wilczyński z tytułem „Pana Naczelnika“, szefem sztabu został Krauthofer-Krotowski, chociaż nigdy poprzednio nie służył w wojsku, przybocznym adjutantem zamianowano „arcyidealistę i nadzwyczaj przystojnego młodzieńca“ Żochowskiego.

Celem tego oddziału nie było pośpieszyć na pomoc Mierosławskiemu i wzmocnić jego szeregi, lecz „sprawić dywersję“ w innej stronie, tj. zachodniej WKs. Poznańskiego. Ruszono tedy w pochód ku miasteczku Sęszewu, oddalonemu o dwie mile od Poznania i tutaj w lesie rozłożono się obozem. „Ów laszek zajęli partyzanci nie bez powodu—powiada źródło współczesne — wiedzieli bowiem, że pójdzie tędy szosą świeżo zebrany oddział landwe-

ry". Tak się też stało. Napadnięci ze wszystkich stron landwerzyści poddali się bez wielkiego oporu, a zdaje się, że nikt przytem nie poległ. Prusaków wzięto do niewoli, ale, co najważniejsze, w myśl nadziei Wilczyńskiego, łupem powstańców stała się wielka liczba karabinów doskonałych.

Po takim świetnem zapoczątkowaniu działań wojennych zapal wzrósł wśród partyzantów i w takt pieśni legionów armja zwycięska skierowała się do Rogalina, tej starej i pięknej rezydencji magnackiej hrabiów Raczyńskich, rezydencji, mieszczącej w sobie nieocenione skarby sztuki. We wspaniałym zamku „Pan Naczelnik“ wraz z sztabem swoim obrał kwatery, równocześnie wysyłając mały oddział dla zdobycia nędznej, niewielkiej miejsciny, Kórnik, tem tylko słynnej, że tutaj mieszkał w swoim zamku jeden z najlepszych synów Polski, hr. Tytus Działyński. Naturalnie, że Kórnik zdobyto łatwo, wypędzono burmistrza i ławników, zaprowadzono nowe rządy. Upojeni takimi zwycięstwami Wilczyński i Krotowski postanowili teraz dokonać aktu najważniejszego. Zebrawszy około siebie sztab, „Pan Naczelnik“ proklamował wobec licznie zebranych obywateli z sąsiedztwa, chłopów z dóbr rogalińskich, mieszczan z pobliskiej Mosiny—„Rzeczpospolitą Poznańską“.

Środek ten, który nam wydać się musi nawet nie pozbawionym humorystyki, podziałał jak magnes na dobrodusznych, lecz zarazem małodusznych lu-

dzi, którzy dotąd całą tę wyprawę Krauthofera i Wilczyńskiego uważali za to, czem istotnie była, za „pohulankę partyzancką“.

Ze wszystkich stron do obozu zbiegać się zaczęli ochotnicy, a dostarczyły ich przedewszystkiem: miasteczko rodzinne twórcy całego planu Bnin, Stęszewo, Mosina, Buk, Kórnik, Opalenica i przedmieścia, rozciągnięte wieńcem około Poznania. Z takimi posiłkami mógł, tak mu się przynajmniej zdawało, Wilczyński rozpocząć akcję w szerszym zakresie. O drugiej sposobności schwytania Prusaków nieprzygotowanych nie mogło być mowy, więc należało wystąpić do walki otwartej. W tym celu szef sztabu Krauthofer przystąpił do wypracowania planu zdobycia dużego już, powiatowego miasteczka, Śremu, leżącego nad Wartą. I szef sztabu wypełnił zadanie, ale wypełnił je tak, że wielki Prądyński chyba zanosiłby się od śmiechu, spojrzawszy na mapę. Śrem miał być wzięty szturmem nagłym i w tym celu Krauthofer-Krotowski główne siły powstańcze skierował na mokre łąki, wśród których gdzieniegdzie znajdowały się nawet trzęsawiska. Zamiast, spostrzegłszy błąd, cofnąć się i szturm skierować w inną stronę, Wilczyński ślepo trzymał się planu szefa sztabu i przypuszczał atak po ataku, choć ludzie po kolana stali w wodzie, a konie zapadały się w bagnach. Pomimo to ostrzeliwanie Śremu trwało blisko 6 godzin i dopiero po upływie tego czasu powstańcy musieli się cofnąć nie bez strat dotkliwych. Aureola

jednak nie zniknęła jeszcze i wciąż zjawiali się nowi ochotnicy. Po całym Księstwie rozbiegła się wieść o wielkich zwycięstwach i zaczęto już wierzyć, że to, co popsuł Mierosławski, naprawi Wilczyński z Krauthoferem. Niestety! radość trwała krótko: Prusacy zebrali większe siły, napadli na Rogalin, zdobyli go i w puch i proch rozbili naszych partyzantów, którzy rozpierzchli się i — rzecz dziwna — nie zostawszy przeważnie schwytani, uszli cało przed karą. Ciekawy niezawodnie dla czytelników będzie szczegół, że wśród partyzantów znajdował się także późniejszy arcybiskup warszawski — Zygmunt Feliński. Z pola bitwy Feliński uciekł w mundurku ucznia gimnazjalnego, typu, przyjętego w Kr. Polskiem. Spostrzegł to inny uczeń poznański, Leon Bukowiecki i postarał się o ubranie, gdyż inaczej przyszły dostojnik Kościoła byłby stanowczo schwytany i bardzo surowo ukarany.

Tak się skończyła „pohulanka partyzancka“ i dzieje „Rzeczypospolitej Poznańskiej“. Główni jej twórcy gorzko za swój zapał odpokutowali: Wilczyński sam pozbawił się życia, a Krauthofer uciekł, schronił się w ogrodzie pałacowym we wsi Konarzewie i tu został ujęty. Okuty w kajdany, pędzony był do Poznania, następnie długo siedział w więzieniu, gdzie się rozchorował ciężko i następnie zasiadł na ławie oskarżonych, pod zarzutem zdrady stanu. Groziła mu kara śmierci, ale lichy szef sztabu okazał się tak świetnym mówcą, że sąd czuł się zniewolony go uwolnić. Jako obrońca

oskarżonego wystąpił też wtedy po raz pierwszy głośny następnie poseł i parlamentarzysta--Władysław Niegolewski.

Najgorzej jednak na tej pantyzantce wyszedł Rogalin i jego właściciel. Rozbestwione żołdactwo pruskie wpadło naksztalt Wandalów do pałacu, łamało meble, tłukło kosztowne serwisy, dziurawiło obrazy, rozrywało pałaszami makaty i gobeliny. Działy się tam rzeczy tak straszne, że osobny komitet polski, złożony z Kraszewskiego, Brodowskiego i Potworowskiego, czuł się zniewolony wydać broszurę niemiecką, w której przedstawiono całą ohydę wandalizmu pruskiego.

A jednak po tej wyprawie Krauthofera i Wilczyńskiego pozostała pamiątka. Są nią obrazy litografowane podług szkicu malarza ówczesnego, zdaje się, Sarneckiego, przedstawiające Wilczyńskiego ze swoją świtą w chwili, gdy ogłasza w wielkiej sali rogalińskiej „Rzeczpospolitą Poznańską“. Ten obrazek chcieliśmy zdobyć do reprodukcji w naszej księżce, lecz niestety! tworzy on już rzadkość nadzwyczajną.



Juliusz Słowacki, jako agitator
= rewolucyjny w Poznaniu. =



Rozglądając się w starych szpargałach, dotyczących ruchu powstańczego w WKs. Poznańskiem, natrafiłem na ślad pracy, że tak powiem, „koniuratorsko-emisarjuszowskiej“, czterech poetów polskich: Ryszarda Berwińskiego, Teofila Lenartowicza, Karola Balińskiego i... Juliusza Słowackiego.

Trzech pierwszych pomijam na razie. W tej chwili chodzi mi tylko o autora „Balladyny“, tem więcej, że każdy, bodaj najdrobniejszy szczegół, odnoszący się do gwiazdy na firmamencie poezji polskiej, ma ogromne znaczenie.

Z licznych biografji, bardzo sumiennych, autora „Anhellego“ wiadomo, że niedługo przed swoją śmiercią Juliusz Słowacki pojechał z Paryża do Poznania i tu, w stolicy Wielkopolski, przepędził kilka tygodni. Co go skłoniło do tego wyjazdu i do tego pobytu dłuższego?

Biografowie odpowiadają krótko, że chęć zjechania się w Poznaniu z tą matką uwielbianą, do której słał z wygnania owe wspaniałe, krwią i łza-

mi pisane listy, będące jedną z najwspanialszych spuścizn, jakie mistrz słowa pozostawił w literaturze polskiej.

Niewątpliwie jest w tem ogromnie dużo racji. Słowackiego wprost pożerała tęsknota za tą rodzicielką swoją i z pewnością zrobiłby był każdy krok, najbardziej ryzykowny, byle ujrzeć oblicze jej bodaj na chwilę.

Dlaczego jednak ten zjazd nastąpić miał właśnie w Poznaniu? Dlaczego nie wybrano innego, spokojniejszego punktu? Przecież całe w WKs. Poznańskie i Prusy Zachodnie były wówczas podmiłowane, przecież po nieudanych atakach na Starogród i Poznań w r. 1846-ym bynajmniej nie uspokoiły się umysły; przecież głośny proces „Moabicki,” został zaledwie ukończony, a setki rodzin jęczały pod obuchem straszego wyroku sądu berlińskiego, który orzekł dla głównych winowajców „ucięcie głowy toporem”, a dla reszty 254 oskarżonych kary więzienne aż do lat 25-u! Przecież naród dyszał chęcią zemsty, rząd zaś pruski wiedział już o wysłaniu przez Centralizację Wersalską całej gromady emisariuszów, przebiegających kraj, położony nad Wartą i Notecią, i wzywających do powstania zbrojnego! Przecież „dla postrachu” tych emisariuszów rozstrzelany został nieszczęśliwy Babiński, przecież generał Steinaecker działał z całą, iście pruską bezwzględnością i np. pannę Jeziorowską więziono długo za to tylko, że odważyła się przy organach zaśpiewać „Boże coś Polskę“.

I w takich chwilach, kiedy ziemia zdawała się palić pod stopami, kiedy lada dzień, lada minutę nastąpić mógł wybuch, jak ogień obejmujący kraj od Ślązka aż po Brandenburgję — w takich chwilach urządzić sobie niewinny zjazd rodzinny w Poznaniu. To byłoby conajmniej ogromnie dziwne, ogromnie lekkomyślne. Słowacki kochał matkę swoją namiętnie, widział w niej swoje bożyszczce, swojego ducha opiekuńczego i on, który każdy proch gotówby był usuwać z pod jej stopy, miałby tę uwielbianą istotę narażać na wszystkie przykrości, mogące tak łatwo spaść na nią w czasach wzburzenia rewolucyjnego? To wprost niemożliwe.

Musiały być przeto inne powody, które zagnały poetę do grodu Przemysława i które kazały mu „pozorować“ pobyt w Poznaniu chęcią zjechania się z matką. Może też niedalekie od prawdy będzie twierdzenie, że Słowacki, który bądź co bądź odbierał w Paryżu mniej lub więcej dokładne relacje o tem, co się dzieje w WKs. Poznańskiem i który musiał wiedzieć o przygotowywanym wybuchu, chciał w tym wybuchu wziąć udział czynny. Toć wiadomo, że jedną z ciężkich zgryzot, trapiących go w życiu emigranckiem, był wyrzut, iż mogąc w roku 1830—31 stanąć w szeregach walczących, nie uczynił tego. Teraz nadarzała się sposobność powetowania złego i wykazania niechętnym, że nie tchórzostwo było powodem uchylenia się od służenia orężem ojczyźnie. Są to jednak przypuszczenia tylko, których wyjaśnienie, jak również wy-

jaśnienie stosunku poety do Centralizacji Wersalskiej, pozostawić muszę biografom Słowackiego. Na tem miejscu pragnę tylko przytoczyć kilka szczegółów o samym pobycie poety w Poznaniu.

Juljusz przybył do Poznania, jak powiada prof. Marcei Motty w swoich wprost nieoszacowanych „Przechadzkach po mieście“, a właściwie w swoich „Pamiętnikach“, „w samym początku rozruchów czterdziestego ósmego“, dokładnego jednak dnia, ani miesiąca nie podaje. Przybywszy do miasta, nie stanął w żadnym hotelu, ani też zajeździe, lecz wprost skierował się do domu, wystawionego przez słynnego lekarza i autora „Historji sztuki lekarskiej w Polsce“, d-ra Ludwika Gąsiorowskiego przy ulicy „Piekary“. Tutaj, w tym domu, na pierwszym piętrze zajmował mieszkanie major z wojen napoleońskich, August Bukowiecki, osobistość niezmiernie ciekawa, typ, godny pióra artysty—powieściopisarza. Czy Słowacki znał poprzednio Bukowieckiego, jest rzeczą bardzo wątpliwą. Okazuje się to już choćby tylko z zupełnej nieznajomości stosunków rodzinnych poety ze strony majora, o czem pomówimy w dalszym ciągu tego opowiadania. Prawdopodobnie musiał jednak Juljusz być polecony, gdyż „jak w dym“ udał się do Bukowieckiego i w mieszkaniu jego zajął „niewielki pokój“ z osobnym wejściem, „tuż przy salce położony“. Ten pokój „przy salce“ ma swoją historję, a ponieważ dom d-ra Gąsiorowskiego stoi jeszcze ciągle na dawnym miejscu, wartoby było, ażeby Poznańczycy przy-

pomnieli sobie, że tutaj kolejno, krócej lub dłużej, gościli: Słowacki, Lenartowicz i Baliński. Jakaś, choćby nalskromniejsza tablica powinna by to uwiecznić, tem więcej, że Poznań tak bardzo jest ubogi na punkcie wszelkich pomników.

Cytowany przez nas, a niestety! prawie zupełnie szerszemn ogółowi nieznanym pamiętnikarz, w ten sposób przedstawia nam wieszczka z czasów jego pobytu w grodzie nad Wartą: „Po sześciu latach niewidzenia mało co zmiany w nim dostrzegłem. Tylko się trochę podstarzał i piersiowe cierpienie nieco się wyraźniej w nim uwydatniało. Ale była to też sama figurka niewielka, szczupła, niepozorna, o ruchach niespokojnych, z ciemnym, jeszcze dość długim włosiem, z nosem wyraźnym, z okiem raz zamglonem, to znów jasno-przejrzystem i błyszczącym. Z pozoru nikt nie byłby mógł odgadnąć, że to wielki poeta, a niejeden, przechodząc koło niego, byłby myślał, że to jakiś skromny kancelista, albo kupczyk (sic). Dopiero w rozmowie sprawiała jego osobistość całkiem inne wrażenie: sposób mówienia, modulacje głosu, dziwne spojżenia, nagle rzucane myśli objawiały coś nadzwyczajnego. Co do nastroju ducha był równie takim, jakim go widziałem w Paryżu. Przez Towianizm wszakże wzmogła się w nim wybujałość fantazji i wydawała się czasami chorobliwą“.

Dzięki tej „nadzwyczajności“ swojej, a zapewne także dzięki rozległym stosunkom towarzyskim majora Bukowieckiego, Słowacki, „wszędzie przyj-

mowany był bardzo serdecznie i rad chodził między swymi," „chętnie też byłby długo w Poznaniu zabawił". Szkoda wielka, że pamiętnikarz, którego powaga jako człowieka-obywatela, autora i wybitnego profesora, niepodlega żadnemu zakwestjonowaniu, nie dopowiedział w swoich „Przechadzkach": kto to byli ci, „swoi, z którymi poeta rad chodził", takie dopowiedzenie bowiem wyjaśniłoby nam od razu, czy i z jakimi zamiarami przybył Słowacki do Poznania. Jest tylko rzeczą pewną, że jeżeli pragnął wziąć udział w poznańskim ruchu rewolucyjnym, to trafił jaknajgorzej, lokując się w pokoju „przy salce" u majora Bukowieckiego. Tutaj gromadzili się niemal wyłącznie ludzie, należący do stronnictwa umiarkowanego, ludzie „Marcinkowskiego", patrzący z niedowierzaniem na kierunek, który ruchowi chcieli nadać zapaleńcy z Liebeltem na czele. Tego niedowierzania, pomimo, iż znalazł się w otoczeniu ludzi t. zw. „trzeźwych", nie podzielał poeta i to właśnie świadczy, że miał jednak pewne zamiary walczenia w szeregach powstańczych. „Pewnego razu rozmawialiśmy — mówi prof. Motty — o zamiarach rządu i o tem, że władze pruskie nie chcą naszych wpuszczać na „Kernwerk" *), a nawet ściągają do niego wojsko z prowincji. Słowacki nie pozwolił dokończyć mówiacemu i zawołał:

— Panie, kozikami „Kernwerk" zdobędziemy.

*) Taką nazwę nosił cyta del a poznańska.

Tylko wiarę mieć potrzeba. Przechodząc dzisiaj z rana przez plac Bernardyński, ujrzałem mnóstwo maluczkich chłopców musztrujących się. Widzicie, że już na dzieci duch zstępuje!

To „zdobędziemy“ — wydaje mi się bardzo znamienne, przemawia też ten jeden wyraz za przypuszczeniem, że nie tylko dla widzenia się z matką przyjechał Słowacki do Poznania.

Ze stolicy Wielkopolski poeta wyjechał do Wrocławia, widocznie zaś rząd pruski musiał bacznie śledzić jego kroki, skoro nie pozwolono mu się tutaj długo zatrzymać i wydalono go z miasta. Do Poznania nie powrócił więcej i bitwy pod Miłosławiem, Książem, Wrześnią oraz wyprawa partyzancką na Rogalin, w której był czynny przyjaciel Słowackiego, późniejszy arcybiskup warszawski, Zygmunt Feliński, obeszły się bez jego udziału.

Ale nie tutaj jeszcze koniec szczegółów o pobycie autora „Balladyny“ w WKs. Poznańskim.

Być może, iż ta reszta mało jest interesująca i ważniejszego znaczenia nie posiada, sędzę jednak, że każdy drobiazg, choćby on nawet podany był w formie anegdotycznej, gdy chodzi o prawdziwie wielkich w narodzie, powinien być przechowany. Tem więcej zaś wydaje mi się to potrzebne, że to, co opowiada prof. Motty, dorzuca bardzo ciekawy rys do zrozumienia charakteru poety i wyświetlenia stosunku Juliusza, jako pasierba, do jego ojczyzny, d-ra Bécu.

Wiadomo, że mistrz słowa, choć niezawodnie wiedział wszystko i znał wszystkie ujemne strony ojczyzna swojego, niezmiernie drażliwy stawał się wtedy, gdy ktośkolwiek ubliżył drugiemu mężowi jego matki. Znane są stosunki z Mickiewiczem i znane to dolanie oliwy do ognia przez wprowadzenie d-ra Bécu do „Dziadów“. Ten doktor Bécu zatruł też nawet w Poznaniu ostatnie dni pobytu Słowackiemu, tego pobytu, który skądinąd musiałby być tylko miłe po sobie zostawić wspomnienie.

Rzecz tak się miała podług opowiadania wzmiankowanego powyżej pamiętnikarza:

„Kilka dni przed wyjazdem z Poznania, siedząc wieczorem przy herbacie u państwa Bukowieckich, zapatrzył się Słowacki na ręce starego majora i zapytał wreszcie nieśmiało, — co mu się w owe palce zrobiło? „Ha! — wykrzyknął zagadnięty energicznie — to ten bestja Bécu temu winien. Gdyby nie on, miałbym może palce jak wszyscy ludzie“. I na dalsze pytania zarumienionego poety opowiedział swoją wileńską przygodę“.

W tem miejscu objaśnić musimy, jaka to była ta „wileńska przygoda“, która aż rumieniec wywołała na obliczu Juljusza. I znów postępujemy się pod tym względem opowiadaniem prof. Moty'go.

„Nad Berezyną znalazł się major Bukowiecki między tymi, którzy pod dowództwem Neya bronili przejścia przez rzekę, na której mostu nie zerwano. Stał przez cały ten czas po kolana w wodzie lub śnie-

gu, bez płaszcza, bez pokarmu, na wskroś przemarznięty, a do tego lancami kozaków pokłóty i, gdy się wreszcie z niedobitkami na drugi brzeg przedostał, w takim był stanie, że gdyby nie litość kilku żołnierzy, byłby tam pozostał na polu, przysypany śniegiem, jak tylu innych. Złożono go na wóz i dowieziono zlodowaciałego i nieprzytomnego do Wilna. Tutaj, za czyjąś poradą, zawieźli go koledzy do domu pierwszego w mieście lekarza i chirurga, doktora Bécu, pelecając, mimo bardzo niechętnego przyjęcia, chorego i rannego oficera jego opiece.

Gdy na drugi dzień któryś z kolegów przyszedł około wieczora, chcąc zobaczyć, co się z majorem stało, znalazł go gdzieś na podwórzu, leżącego na ziemi tak zupełnie, jak go przywieziono. Oburzony na doktora, który się przed nim ukrył, oficer zwołał kilku ludzi i kazał przenieść niezwygłego już prawie do przepelnionego szpitala Sióstr Miłosierdzia, gdzie go po długich prośbach przyjęto. Tutaj leżał Bukowiecki obok współtowarzysza broni, Aleksandra Fredry, i odzyskał przytomność. Ale chorował długo, bo głowa, ręce i nogi były wskutek leżenia na podwórzu u doktora Bécu przemrożone. Aby zapobiedz rozpoczynającej się gangrenie, ucięto Bukowieckiemu końcowe członki palców u nóg i u rąk*.

Major był zatem kaleką, co nie mogło ująć uwagi Słowackiego i stąd owo pytanie nieśmiałe po-

ety, owa odpowiedź rubaszno-żołnierska i owe rumieńce...

Po wysłuchaniu opowiadania o „wileńskiej przygodzie“ Słowacki zamilkł i przez kilka dni nurtowało go jakieś uczucie wstydu za postępek ojczyma. „Dopiero w sam dzień wyjazdu — mówi dalej pamiętnikarz — Słowacki, przyszedłszy zrana do saloniku, ażeby się pożegnać, między innymi oświadczył nieśmiało, iż ma wielką bardzo prośbę do pana majora i błaga z góry, ażeby ta prośba została wysłuchana. Skoro zaś Bukowiecki zaręczył, że zrobi, co tylko będzie mógł, Słowacki zawołał:

— Panie majorze! zrób to pan dla mnie, zapomnij i wybac doktorowi Bécu, bo... to mój ojczym, który już nie żyje i któremu wiele jestem wdzięczny.

„Odjechał uspokojony — ciągnie dalej prof. Moty — gdy stary major, rozczuliwszy się tem jego dobrem i wdzięcznem sercem, uściskał go, uspokoił i zaręczył, że wtenczas, owego wieczoru, opowiedał mu całą rzecz tak trochę z fantazji, lecz że od dawna już, blizkim będąc grobu, w duszy i szczerze zapomniał i przebaczył nietylko doktorowi wileńskiemu, lecz i wszystkim tym, którzy go kiedykolwiek skrzywdzili“.

Anegdota? Być może, chociaż tę anegdotę z całą powagą podaje człowiek nieskazitelnie prawy, nadzwyczaj ścisły w każdym przedstawieniu

rzeczy i ludzi, człowiek, który posiadał wielki mir
za życia wśród całego ogółu poznańskiego.

A gdyby nawet opowiadanie „o kozikach”,
którymi Słowacki chciał zdobywać cytadelę poznań-
ską i ten szczegół o Bécu i Bukowieckim okazały
się tylko anegdotami, to czyż nie warte one opisa-
nia bodaj w drobnym szkicu?



Ksiądz-apostata i fanatyk
== demokratyczny. ==



Ktoby chciał zadać sobie trud pociągnięcia paraleli pomiędzy rozwojem wypadków, które miały na celu przekształcenie z gruntu ustroju państwowego w Niemczech, zwłaszcza zaś w Prusach, i szczególnie w W. Ks. Poznańskim, a wypadkami, które się rozgrywały w Kr. Polskim od chwili rozbudzenia ruchu wolnościowego, ten, pomimo dyametralnych różnic w sposobie prowadzenia walki, znalazłby jednak wiele cech wspólnych. Ben Akiba nie myliłby się napewno, gdyby orzekł, że „dużo już było“.

Wiemy wszyscy np., że jedną z bolesnych plag, które przyplątały się do licznych nieszczęść, spadłych na nasz kraj, był przez czas pewien tak zwany „Marjawityzm“. Jak każde rozbudzenie fanatyzmu religijnego w chwilach wielkich przewrotów dziejowych musi paczyć wszelkie, najgodziwiej podejmowane przedsięwzięcia, tak i „Marjawityzm“ osłabił impet ruchu patriotycznego, powikłał go, robotę działa-

czy, zmierzających do stworzenia lepszej doli narodowi, utrudnił tylko przez tworzenie rozterek wewnętrznych.

Ruch wolnościowy w W. Ks. Poznańskim z owych lat, które tu opisujemy, miał również *sui generis* „marjawityzm“ i odznaczał się również dążeniem do wywołania walk domowych na tle fanatyzmu religijnego. Sprawa to już zapomniana prawie zupełnie, warta jednak odgrzebania z popiołów, jako ciekawa bądź co bądź karta w dziejach sekciarstwa polskiego i w historii naszej z pierwszej połowy XIX-go stulecia.

Po krokach przedwstępnych zmierzających do wywołania ruchu zbrojnego postanowiono, że powstanie polskie ówczesne, podług planu Mierosławskiego i Centralizacji, miało jednego i tegosamego dnia o jednej i tejsamej godzinie ogarnąć, jak płomień, całą ludność w trzech ziemiach polskich. „Powstanie nasze będzie czemś nigdy dotąd niebywałem — wołał Mierosławski—będzie chyba tylko podobne do „Nieszporów Sycylijskich“. Chcąc jednak taki plan przeprowadzić, potrzeba było przygotować wszystko, to zaś wymagało nie dni, ani też miesięcy, ale lat całych wytężonej pracy, agitacji i gromadzenia pieniędzy. Na pracy wytężonej nie zbywało wtajemniczonym w plan spiskowcom, agitacja prowadzona była z nadzwyczajnem poświęceniem, jak tego przykłady mieliśmy na emisariuszu Babińskim, Krauthoferze, Kurnatowskim; jednej rzeczy

tylko nie dostawało — pieniędzy, a co za tem idzie, broni, amunicji, pogotowia bojowego. „Naród dyszał chęcią walki“ — powiada słusznie akt oskarżenia w późniejszym procesie Moabickim — Centralizacja zaś widziała dobrze, iż przedwczesny wybuch może wszystkie nici misternie tkanej siatki porwać.

W tych warunkach najpoważniejsi przedstawiciele Towarzystwa Demokratycznego postanowili użyć własnego wpływu i wymowy, ażeby rozpalone, „dyszające chęcią walki“ głowy, jeszcze na pewien czas ukołysać. Jan Alcjata, Heltman i inni przebiegali W. Ks. Poznańskie, zwoływali posiedzenia, tłumaczyli, błagali o cierpliwość, być też może, iż perswazji tej rozumnej byłoby się powiodło odroczyć wybuch aż do czasu lepszego przygotowania i sposobnej chwili, gdyby nie ukazanie się owego sekciarstwa religijnego, o którym pragnę słów kilka powiedzieć. Nie twierdzę bynajmniej, żeby to sekciarstwo miało być jedyną przyczyną wybryków junackich, które przyniósł z sobą rok 1846-ty, nie waham się jednak utrzymywać, że stało się ową oliwą, którą najzupełniej niepotrzebnie, a może nawet w zamiarach zbrodniczych, dolano do ognia.

W pamiętnym roku 1812-ym w małej iniejsowości Prus Zachodnich, w Worłubieni, z rodziców, należących do t. zw. szlachty zagonowej, Czerskich, przyszedł na świat chłopiec, któremu na chrzcie

św. nadano imię Jan. Rodzina Czerskich, jakkolwiek polska, ulegała wpływom germańskim, od zupełnego jednak zgermanizowania broniło ją gorące przywiązanie do wiary przodków katolickich. W takiej wzrastając atmosferze, młody Jan urabiał w sobie głęboką wiarę i pobożność, ale równocześnie stawał się indyferentnym na punkcie polskośći. Pobożność, skromność i prostota w życiu otworzyły mu łatwo po ukończeniu szkół średnich wstęp do seminarjum duchownego w Poznaniu, gdzie należał do wzorowych alumnów i skąd wyszedł w r. 1842 jako kapłan. Liczył już zatem wówczas lat 30 i nie należał do młodzieńców, którzy pod wpływem ferworu nieokiełznanego tak często kuszą się o to, ażeby świat cały przewrócić na nice, jeżeli zaś nawet nurtował we wnętrzu młodego księdza jakiś ogień, to nie miał on pola do zapłonięcia na skromnym wikarjacie wiejskim, otrzymanym jako pierwsza posada po wyświęceniu. Tam, na tym wikarjacie wiejskim, ks. Jan Czerski nie marzył też zapewne, że przyjdzie mu wkrótce odegrać ważną, ale i smutną bardzo rolę w wypadkach ówczesnych. Uczył się tylko ciągle, pracował nad sobą i z szczególną gorliwością, z zapamiętaniem studyował Pismo Święte.

Władza duchowna zwróciła uwagę na tę gorliwość i pracowitość ks. Czerskiego, w uznaniu też zasług powołała go w r. 1844-ym do Poznania na stanowisko wybitniejsze. Ale właśnie to zbliżenie się do dostojników kościelnych miało stać się

zgubą dla Czerskiego i przyczyną rozlicznych przykrości dla całego kleru, dla ludności katolickiej i ogółu polskiego. Młody kapłan zaczął badać życie swoich zwierzchników i odkrył tam niektóre rysy, które go wcale nie budowały. Był to pierwszy jad, który się wsączył w jego duszę i który przepoił mózg, spracowany bezkrytycznym rozczytywaniem się w Piśmie Świętem. Kiedy zaś jeszcze we Wrocławiu pojawił się drugi reformator w osobie również księdza katolickiego, Jana Rongego, wtedy Czerski nawiązał z nim stosunki, mające się później przekształcić w przyjaźń wielką, i postanowił wystąpić przeciw władzy duchownej. Raz wszedłszy na tę drogę pochyłą, kroczył już teraz śladami Lutra i na bramie kościoła Farnego w Poznaniu, zwyczajem średniowiecznym, przybił swoje „tezy“. Opiewały one, że:

1^o) Papież nie jest głową Kościoła, ustanowioną przez Boga;

2^o) Nauka Kościoła jest w wielu razach sprzeczna z nauką Chrystusa Pana, jak np. spowiedź, celibat, kult dla obrazów i relikwii, język liturgiczny i t. p.;

3^o) Księża, nieżyjący w duchu chrześcijańskim i stanowiący kastę odrębną, zapominają o tem, iż wszyscy ludzie mają prawo do udziału w Królestwie Bożem.

Zdawałoby się, że takie „herezje“ powinny były znaleźć natychmiastowe ukrócenie, suspensę, wyklęcie i t. p. ze strony władz kościelnych. Stało

się inaczej. W przedziwnej wyrozumiałości swojej spróbowano łagodnością wpłynąć na zmianę buntującego się jawnie księdza, ażeby go jednak odsunąć od możliwego wywierania wpływu w stolicy Księstwa, przeznaczono go na wyborne pod względem dochodowym probostwo w Pile. Popołniono błąd ogromny, raz dlatego, że były to już czasy wielkiego podniecenia umysłów, a powtóre, że Piła, zwana po niemiecku „Schneidemühle“, wówczas była może bardziej niemiecką, niż obecnie, Czerski zaś nie miał, jak się rzekło, głębokich uczuć patryjotycznych. Liczenie na to, że heretyk się nawróci i uspokoi, okazać się też miało wkrótce płonne.

Niebawem po objęciu przez Czerskiego parafji w Pile z W. Ks. Poznańskiego urządzać zaczęto pielgrzymki do Trewiru, gdzie w jednym z kościołów wystawiono na pokaz publiczny świeżo-odnalezioną sukienkę Matki Boskiej. Czerski z całą właściwą sobie energją i popędliwością wystąpił przeciw pielgrzymkom, a wystawienie sukienki nazwał bez ceremonii wyzyskiwaniem ciemnych mas katolickich. Argumenty trafiły wielkiej ilości wiernych do przekonania i około proboszcza w Pile, który teraz jawnie już zerwał z Kościołem rzymsko katolickim, zgrupował się zastęp tak okazały, że Czerski mógł utworzyć osobną gminę, którą nazwał „Apostolsko-chrześcijańsko-katolicką“.

Nastąpił rozłam w społeczeństwie, a nastąpił właśnie w chwili, gdy lada dzień, lada godzinę oczekiwać można było wybuchu i gdy lada iskier-

ka wzbudzić mogła pożar ogromny. Członkowie Centralizacji Wersalskiej i ci wszyscy, którzy stali na czele spisku, znaleźli się odrazu w położeniu rozpaczliwym, cóż bowiem łatwiejszego, jak w takich razach, gdy namiętności na tle religijnem opadają ludzi, wywołać burzę? Krew mogła się połączyć bratnia, a w tej krwi utonęłyby wszystkie śmiałe projekty wywołania ogólnego powstania na całej ziemi polskiej. Energia społeczeństwa raz znalazłszy upust do ekspansji, nie dałaby się już po raz drugi pobudzić do wykonania śmiałych przedsięwzięć Centralizacji. Rząd pruski doskonale zdawał sobie z tego sprawę i nie tylko patrzył przez szpary na zatarg Czerskiego z władzą duchowną i ludnością szczerze katolicką, ale działalność proboszcza z Piły popierał skrycie. Czerski nie był rządowi szkodliwy, a już wcale nie był niebezpieczny jako Polak. I nie omylił się rząd bynajmniej, niedaleka bowiem przyszłość pokazała, że Czerski, zerwawszy z Kościołem, zerwał także następnie z narodem, z którego łona wyszedł, a przekształciwszy swoją gminę „Apostolsko-chrześcijańską katolicką“, doktryny swoje i poglądy propagował wyłącznie w broszurach, pisanych po niemiecku.

Ażeby nie dopuścić do żadnych rozterek, a tem mniej do przelania krwi bratniej, Centralizacja Wersalska postanowiła zbagatelizować całą sprawę Czerskiego, był to zaś niewątpliwie krok najrozumniejszy. Namiętności byłyby się ułożyły, na razie zaś nawet mogło być pożądane takie chwilowe za-

jęcie się czemś innem, umożliwiające jeszcze na czas jakiś odłożenie i lepsze przygotowanie wybuchu zbrojnego.

Na nieszczęście, w przygotowaniach do tego wybuchu wielką, jedną z największych rolę grał człowiek, któremu należy się osobny rozdział w dziejach owych burzliwych dni. Człowiekiem tym był — Walenty Stefański. Nazwisko mało dziś znane, a jednak osobistość ta, że się tak wyrażę, trzęsała podówczas całym W. Ks. Poznańskim, wpływ jej sięgał daleko, do Galicji, do Królestwa Polskiego, na Litwę. Centralizacja i Mierosławski musieli liczyć się poważnie z Walentym Stefańskim, musieli go poważać wysoko, ale i lękać zarazem. Nie tuzinkowy był to człowiek i nawet prof. Motty w swoich „Przechadzkach“ oddaje mu ogromne pochwały, chociaż ten pamiętnikarz o całym ogóle spiskowców wyraża się nieraz z przekąsem i lekceważeniem.

Stefański — to typ konspiratora z urodzenia, typ piękny, w niektórych razach nawet wspaniały, ale niezawsze dla dobra sprawy tacy ludzie są pożyteczni. Zecer z zawodu i samouk w lepszym gatunku, posiadał Walenty Stefański dwie cechy charakteru wybitne: bezgraniczną miłość ziemi rodzinnej i równie bezgraniczne przywiązanie do Kościoła. Te dwie miłości wybujały wnet u niego do fanatyzmu, nie cofnąłby się też przed niczem, gdyby ktokolwiek śmiał zadrasnąć te jego najdroższe

uczucia. Niech się krew leje, niech pół współziomków pójdzie na katusze więzienne, byle prawdzie stało się zadość! Tą dewizą się rządząc w życiu, Stefański dokazywał wprost cudów w budzeniu obojętnych dla sprawy narodowej, którą jaknajścisłej zespałał ze sprawą Kościoła katolickiego w Polsce. Z małemi środkami powołał do życia drukarnię, z którą połączył następnie księgarnię, pracował tutaj od świtu do nocy, wśród nadzwyczajnie uciążliwych warunków cenzuralnych wydawał pismo polskie, zebrał do tego pisma o artykuły, sam pisał, gdy znikąd nie doznał pomocy, sam składał, sam nawet roznosił numery po prenumeratorach. Do jakich ogromnych rezultatów dojśćby mógł człowiek z takim zasobem energii? Ile pożytku mógłby być przynieść społeczeństwu?

Niestety! Stefańskiego przywarą było, że w niczem nie znał miary i nie posiadał koniecznego dla działaczy 'społecznych warunku—taktu. Przystwoiwszy sobie zasady demokratyczne, brał z nich to szczególnie, co w nich było najjaskrawszego i najbardziej odbiegającego od pojęć u ogółu zakorzenionych. Fanatyk, zawsze i wszędzie nieliczący się z niczem i z nikim.

Wezmę tylko pierwszy lepszy z brzegu przykład, który wybornie maluje tego wybitnego na owe czasy męża. W Poznaniu urządzano bal publiczny, z którego dochód, oczywiście, posłużyć miał na zasilenie wątlej kasy spiskowców. Dwa lata nie

bawiono się w Poznaniu wcale, teraz w myśl owej piosenki:

„Jeszcze jeden krąg dokoła,
„Jeszcze uścisk bratni,
„Tam na polu trąbka woła,
„Mazur to ostatni! —

Postanowiono zabawić się wreszcie.

Bal ten można nazwać zabawą straceńców, więc też ci, którzy jutro gotowi byli złożyć głowy swoje na błoniach Miłosławia i Wrześni, postanowili hulać i tańczyć aż do upadłego. Nadzieja zwycięstwa przepajała serca, przyszłość uśmiechała się taka jasna, taka różowa!...

Stefański, bez którego ręki, podobnie jak i bez ręki Krauthofera, nic wówczas obejść się nie mogło, należał do inicjatorów i gospodarzy, zapraszających gości. Każdy miał działać w swojej sferze, a bal nosić miał na sobie charakter demokratyczny. Żadnych różnic pomiędzy wsią i miastem.

Nasz agitator zastosował się do tego ściśle i zaczął działać w „swojej sferze.“ Oto wyruszył do wsi okolicznych i przedmieść poznańskich, ale ani w Jerzycach, ani w Ratajach, Głównie, Koziągłowach i t. p. nie wstępował do dworów. Chodził od chałupy do chałupy i zapraszał, zachęcał

tak długo, aż wymógł przyrzeczenie od chłopów, że z żonami i córkami, odświętnie ubranymi, stawią się na sali. Poczcivi włościanie stawili się też w dniu oznaczonym, a nie znając się na formach, przybyli wcześniej, ażeby użyć tańca do syta. Ale ogromna sala, rześiste światło, wreszcie obecność nadciągających z opóźnieniem dam wytwornie przystrojonych, oniesmieliły chłopów. Zaczęli się przymuszać do rozbawienia, szło to jednak bardzo kławo: tańczono w małym kółku, obrawszy sobie jeden kąt w sali. Od czegoż jednak Stefański? Sam objął kierownictwo tańców i tak poprowadził rzecz całą, że wkrótce chłopskie sukmany zmieszały się z frakami i sukniami koronkowemi. Bal stał się naprawdę demokratyczny, trwało to jednak bardzo krótko, gdyż fraki i tiule zwołna znczęły znikać i na sali pozostał tylko z surdutowców Stefański, oraz jedna z najbardziej świetlanych postaci wśród kobiet polskich, panna Emilia Sczaniecka.

Przytoczywszy ten drobny wypadek, charakteryzujący lepiej, niż długie opisy, naszego Stefańskiego, powracam do rzeczy.

Księgarz i wydawca poznański miał już wtedy, gdy ukazała się sekta Czerskiego, wielkie wpływy na masy ludowe i z tych wpływów postanowił skorzystać, ażeby urwać łeb hydrze. I on obawiał się również walki na tle religijnem, rozumował jednak, że plan Centralizacji, polegający na tem, ażeby zbagatelizować Czerskiego i doczekać aż się sekta sama w sobie zgryzie i strawi, jest najniewłaściwiej obrany.

Zdaniem Stefańskiego właśnie inna droga była najwłaściwsza: przyspieszyć wybuch powstania. To przyspieszenie pozwoli zapomnieć o Czerskim, o „nowinkach,” przez niego głoszonych i nie dopuści, ażeby niewiara zakraść się miała do serc i umysłów polskich.

Napróżno Heltman i Alcjata wyteżali wszystkie siły, ażeby jeszcze odwlec, jeszcze odroczyć nieszczęście. Stefański był uparty i zwołał wielki zjazd polsko-katolicki do Torunia. Tutaj postanowiono działać i zapewne byłoby do tego działania przyszło już w r. 1845, gdyby nie to, że śmiały agitator, zbyt gorący, ażeby się maskować, zwrócił na siebie uwagę władz pruskich. Uwięziony, zniknął na czas pewien z horyzontu, zwolna też układać się zaczęła burza, wywołana sektą Czerskiego.

Ślad jednak pozostał niezatarty. Rozgorączkowanych umysłów nie mogli już powstrzymać przywódcy ruchu dłużej, niż kilka miesięcy na wodzy. Wybuch nastąpił przedwcześnie, a z bujnych planów Centralizacji i Mierosławskiego pozostało tylko przykre wspomnienie: cofnięcia się z pod Starogrodu, śmiesznej i niezaszczytnej rejterady Bronisława Dąbrowskiego z pod Siedlec, oraz smutnego w następstwa uderzenia z garstką ludzi na cytadelę poznańską.



Cicha miłość kobiety
= wielkiego serca. =



Wiekopomny autor „Sejmu Czteroletniego“, ks. Walerjan Kalinka, niechętnem spoglądający okiem na udział kobiet w życiu i sprawach publicznych, określił niewiasty polskie jako „żywiół demoniczny, a popychający“.

Jest w tem określeniu dużo słuszności, a kto zna dzieje narodu naszego, ten przypomnieć sobie powinien cały sznur kobiet-demonów, od Ryksy poczynając, a kończąc na Bonie i Marji Kazimierze d'Arquin. Historia porozbiorowa pełna jest również kart, wykazujących wpływ owych „djablic“ polskich na kształtowanie się stosunków i zaprzeczyć się nie da, że wiele klęsk, wiele nieszczęść ominęłoby kraj nasz, gdyby ręki swojej ku temu nie przykładaly kobiety. Nie upowaznia to jednak do potępienia w czambuł całego ogółu płci pięknej i do odmawiania mu prawa współdziałania w pracy ogólnej. Nie od samych kobiet-demonów roi się też historia narodu polskiego, przeciwnie, obok nich stawały zawsze niewiasty tak wielkiej miary,

że chyba tylko w dziejach Sparty równie pięknych doszukaćbyśmy się mogli wzorów i przykładów. Czyż potrzeba dopiero przypominać królowę Jadwigę, Chrzanowską z Trębowli, albo z późniejszych czasów Kludję Potocką, lub Emilję Plater? Każdy Polak wie, kim i czem one były i każdy też z odpowiednią czcią wspomina te złotemi głoskami wyrte w historii nazwiska.

A ileż to kobiet mniejszego, że tak powiem, pokroju, miało nieraz wprost wspaniałe epizody w życiu swoim, na jakie bezgraniczne poświęcenia zdobywały się niektóre Polki, o których potomni dziś nie wiedzą nic, albo bardzo niewiele!...

Do rzędu właśnie takich świetlanych postaci kobiecych należała w owych burzliwych czasach, które tutaj staram się opisać, właścicielka prawdziwie magnackiej fortuny, panna Emilja Szczaniecka, córka starego rodu wielkopolskiego, którego członkowie nigdy nie żalowali ofiar z krwi i mienia dla szczęścia kraju i pełni zapału szli zawsze tam, dokąd ich wzywał obowiązek narodowy. Emilja wyrosła w tych pięknych tradycjach i od najwcześniejszej młodości jeden tylko cel postawiła sobie w życiu: służyć dobrze ojczyźnie, a wielkim majątkiem, otrzymanym w spadku po rodzicach, tak szafować, ażeby nietylko przeszedł bez uszczerbku w ręce potomnych, lecz wpłynął na podniesienie dobrobytu ogólnego.

Taką była ta magnatka aż do ostatniej chwili życia, umierając w późnym bardzo wieku w ósmym

dziesiątku lat ubiegłego stulecia, i takimi zasadami widzimy ją przejętą w owych czasach, gdy wszystko wrzało, gdy grunt palił się pod stopami i gdy z krańca w kraniec biegł po Europie okrzyk:



Emilja Szanlecka.

„Wolnośćci!“, rozpalając umysły i serca Polaków pod zaborem pruskim. Szczera demokratka i gorąco czująca obywatelka kraju, musiała Emilja, dzięki pozycji swojej towarzyskiej, rodowej i ma-

jątkowej, stać się niejako osią, około której obracały się wszystkie wysiłki, zmierzające do zgotowania narodowi lepszej doli. Nie było takiej sprawy dobrej, do której nie przyłożyłaby ręki, chociaż przy nadzwyczajnej skromności swojej nie starała się o rozgłos, przeciwnie, unikała wszelkiego szumu i huk.

Zrazu za jedno z głównych zadań swoich uważała zgromadzenie około siebie na wsi całego zastępu panien z zacnych a podupadłych rodzin, dobierając sobie bardzo starannie osoby, które podzielały jej poglądy i tym samym duchem obywatelskim były nawskroś przejęte. W ten sposób utworzył się w jej domu mimowolnie rodzaj wyższej szkoły życia, a jako najlepsza rekomendacja wystarczało powołanie się na przyjaźń i opiekę panny Emilji Sczanieckiej.

Materiał w tej kobiecie był znakomity, serce gorące, umysł jasny, chęć pracy dla rodaków ogromna. Ale te wszystkie zadatki dobre mogłyby być jednak spaczyć się, a przynajmniej nie wydać oczekiwanych rezultatów, gdyby magnatka wielkopolska, pozostawiona sama sobie, bez opieki i wskazówki odpowiedniej poszła przez życie. Może też dobiłaby była, jak wszystkie jej rówieśniczki ówczesne, do cichej przystani małżeńskiej, może wiodłaby skromny żywot dobrej żony i matki, gdyby na drodze tego życia swojego nie spotkała człowieka, który potęgą swojego rozumu i charakteru

wywarł wpływ stanowczy, decydujący na przyszłość tej panny z wielkiego świata.

Nie powieść piszę, ani nowelę, choć na tej kanwie możnaby wysnuć romans bardzo zajmujący i chociaż wszystkie szczegóły przedstawiają się tak, jakby wysnute były z bujnej fantazji.

Rzecz rozpoczyna się jeszcze przed rokiem 1830-ym, przed tą ostatnią, a tak krwawą epopeą wojenną polską. Na pochmurnem niebie wielkopolskiem wschodzić wówczas dopiero zaczynała gwiazda, która w lat kilka później zaświecić miała tak potężnym blaskiem, że promienie jej działają dziś jeszcze, choć od dawna zgasła bezpowrotnie.

Gwiazdą tą był Karol Marcinkowski, bezwzruszowo największa, najwspanialsza, najbardziej świetlana postać, jaką poszczycić się może W. Ks. Poznańskie w ciągu całego istnienia swojego. Syn ubożego właściciela bardzo podrzędnego szynku, własną pracą i niezmordowaną energją kończący szkoły i uniwersytet, Marcinkowski rozpoczął w mieście rodzinnem praktykę lekarską w tych czasach, gdy polak-doktor był jeszcze „rara avis“, gdy hojnie, aż nad miarę hojnie opłacani lekarze niemieccy prawie bezpodzielnie królowali w Poznaniu i na prowincji.

Młody doktor od razu nie poszedł śladem kolegów niemieckich, wynagrodzenie nie grało dla niego żadnej roli, a natomiast całą usilność swoją zwrócił w kierunku leczenia ubogich, tej nędzy, która żyjąc w najbardziej opłakanych warunkach



D-r Karol Marcinkowski.
Kopia z nader rzadkiego rysunku współczesnego. (Litografia).

hygienicznych, dziesiątkowana była ciągle przez choroby rozmaite. Bezinteresowny do ostatecznych granic, młody lekarz konno objezdzał chorującą biedotę polską, szedł nawet tam, gdzie nie był wcale wołany, a zarobione od możnych pieniądze hojną ręką rozdawał na lekarstwa, pożywienie, bieliznę, środki opatrunkowe. W krótkim czasie ochrzczono Marcinkowskiego mianem „dobroczyńcy ubogich“, podziw zaś dla jego pracowitości, wielkiej wiedzy lekarskiej, łagodności i ofiarności, objął wszystkie sfery społeczeństwa poznańskiego. Nazwisko jego było na ustach wszystkich, a szacunek tak powszechny, że gdy po śmierci arcybiskupa Wolickiego sprzedawano publicznie jego spuściznę, obywatelstwo wielkopolskie postanowiło zakupić ze składek dobrowolnych pierścień arcypasterski i oddać go człowiekowi, najgodniejszemu noszenia tej pamiątki po gorącym patrjocie polskim w purpurze. Pierścień ze wspaniałym, ogromnym szafirem zakupiono istotnie, owym zaś najgodniejszym uznano Karola Marcinkowskiego.

Nie długo mógł jednak wielki lekarz nosić na palcu tę pamiątkę. Nadszedł dzień 29-y listopada 1830-go roku i Marcinkowski nie tylko nie zawahał się pośpieszyć sam do szeregów, jako żołnierz i lekarz pułku jazdy poznańskiej, ale jeszcze wszystko, co miał, nawet meble, ubranie, nawet ten pierścień, ofiarowany mu przez rodaków, złożył na ołtarzu potrzebującej pomocy pieniężnej ojczyzny. Po upadku sprawy i po przejściu granicy pruskiej

z Giełgudem, i Chłapowskim, nie mógł powrócić na dawny swój posterunek i podążył jako emigrant do Anglii, zkąd przeniósł się następnie do Paryża, trzymając się jednak zdala od wszelkich knowań i swarów politycznych i tylko doskonaląc się pod okiem słynnych lekarzy ówczesnych w zawodzie medycznym.

Sześć lat trwała ta tułaczka, gdy zaś zabrakło w Poznaniu tego męża, spostrzeżono, jakim wielkim był dobroczyńcą. I nie tylko społeczeństwo polskie odczuwało ogromny brak lekarza, nawet władze miejskie i prowincjonalne czyniły starania o powrót Karola Marcinkowskiego do kraju. Kiedy wreszcie w r. 1837-ym wybuchnęła gwałtowna cholera i kiedy siły doktorskie okazały się stanowczo za słabe do zwalczania epidemji, opinia publiczna wywarła taki nacisk, że rząd sam czuł się w obowiązku *prosić* wygnańca o powrót do Poznania. Odtąd też rozpoczęła się najpiękniejsza, najbujniejsza era w życiu jego, co zaś działał, dobrawszy sobie do pomocy najwybitniejszych mężów ówczesnych, to przetrwało niespożyte do dnia dzisiejszego. Towarzystwo Pomocy Naukowej, Bazar poznański, wytworzenie polskiego stanu kupieckiego, dźwignięcie przemysłu, a przede wszystkim wskazanie właściwej drogi do postępowania społeczeństwu wielkopolskiemu—są to wiekopomne dzieła Karola Marcinkowskiego. Jako bezwzględny zwolennik pracy u podstaw, zwykł był mawiać, że towarzystwo demokratyczne wersalskie, wsku-

tek oddalenia i tęsknoty za krajem, popadło w halucynacje, i pomimo, że posuwano się aż do gróźb, nakłaniając go do wzięcia udziału w przygotowaniach do ruchu zbrojnego na całym obszarze ziem dawnej Rzeczypospolitej w r. 1846-ym, nie dał się przekonać agitatorom. Przeciwnie nawet, z całą stanowczością opierał się temu zamiarowi, używał wielkiego wpływu swojego, chcąc powstrzymać nierozważnych, staczających naród w przepaść, kiedy zaś bolesne rezultaty przekonały o bezcelowym wysiłku, może nikt tak boleśnie, jak on, nie odczuł klęski, która zwała się na naród.

Opowiada kronikarz współczesny, że Marcinowski nie spał wtedy, nie rozbierał się i tylko chodził po pokoju, drżąc o to, ażeby cała praca jego nie poszła w niwecz. W takich chwilach bolesnej zadumy nad przyszłością stawał najchętniej przy oknie i patrzył na ruch uliczny. I zdarzyło się, że właśnie żandarmi prowadzili do więzienia znanego w mieście i lubianego powszechnie urzędnika Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, Słupeckiego. Wielki filantrop wstrząsnął się wtedy całym ciałem, padł na kanapę, zakaszłał się silnie, na twarzy ukazały się niezdrowe rumieńce, a w oczach zabłysły łzy, ciężkie, jak ołów. Odtąd nie opuszczała go już choroba, która też w końcu zabrała w pełni męskiego wieku człowieka wiekopomnych zasług, chlubę społeczeństwa wielkopolskiego.

Że taki mąż, który już za życia, choć stanął

w poprzek wiejącego w narodzie prądu, był bo-
żyszczem współczesnych, mógł sięgnąć nawet po
córe najwyższego rodu, gdyby serce jego zapalało
miłością, to chyba wobec pojęć dzisiejszych rzeczą
zdawałoby się najnaturalniejszą w świecie. Ale
wówczas, gdy idee prawdziwie demokratyczne, któ-
rych on dopiero był siewcą, nie przeniknęły jeszcze
w krew i kość ogółu szlacheckiego, największe
zasługi, najdoskonalsza miłość ojczyzny, najwyższa
cnota obywatelska nie były jeszcze w stanie za-
trzeć różnic pochodzenia. Dla głów przewrotnych,
lubujących się w świetnościach rodów, ba! wierzą-
cych nawet w jakieś posłannictwo tych rodów, syn
szynkarza, choć wyrósł ponad tłum, był osobą,
należącą do innego świata. Czuł to Marcinkowski
doskonale, pomimo też, że obcował z przedstawi-
cielami arystokracji, że Działyńskich, Mielżyńskich
i innych liczył do grona przyjaciół swoich, umiał
sercu swojemu nakazać milczenie, gdy ogarnęła go
miłość do kobiety z tej właśnie, uważającej się sie-
bie za wybraną sfery towarzyskiej.

Wielki filantrop i działacz był niemniej, jak
się rzekło powyżej, znakomitym, najlepszym po-
dówczas w Poznaniu lekarzem, operacje zaś jego,
stosowanie przytem najnowszych sposobów, budziły
podziw zręcznością i wprawnością ręki. Nie było
chirurga nad Marcinkowskiego, więc rzeczą stało
się aż nadto zrozumiałą, że kiedy ciężko zacho-
rowała panna Emilja Sczaniecka, ta „Kalifornia“,
ta najlepsza partja w Księstwie, przedewszyst-

kiem wezwano najslawniejszego z lekarzy ówczesnych.

Życie panny Emilji wisiało na włosku i działać trzeba było szybko. Marcinkowski nie zawahał się ani chwili i przy pomocy młodszych kolegów, dla których był wzorem i przodownikiem, przystąpił do operacji nadzwyczaj trudnej i nigdy poprzednio w Poznaniu nie dokonywanej. Na czym ta operacja polegała i jaką nosiła nazwę w chirurgii, nie mówią źródła, z których ten epizod został zaczerpnięty, w każdym razie miało to być tak śmiałe cięcie, że zaledwie udaje się szczęśliwie w nadzwyczaj rzadkich wypadkach.

Tym razem operacja powiodła się świetnie, panna Emilja Szczaniecka przetrwała kryzys i powracać zaczęła z wolna do zdrowia. Ale po takim ciężkim przejściu należał Marcinkowski znów do lekarzy, których sumiennosc dochodzi czasami do przesady nawet. I oto zaczęły się codzienne wizyty sławnego człowieka...

Resztę czyły czytelnik, a zwłaszcza czytelniczka może sobie łatwo dośpiewać. On — mąż w pełni lat, wąty, nadzwyczaj delikatny i słodki w mowie i obejściu, a przedewszystkiem otoczony aureolą, ulubieniec ludu, ona — młoda, a jeżeli nie piękna, to w każdym razie nadzwyczaj interesująca, samodzielna, mogąca rozporządzać osobą swoją, bez pytania się o pozwolenie, lub radę. A zarówno „on“ jak i „ona“ — to dusze pokrewne, dla których nie było miłości szczytniejszej nad miłość ojczyzny,

nie było wznioślejszego celu w życiu nad służenie wierne i wytrwałe dobru współbraci. W dodatku fortuna jej magnacka mogła rozwiązać ręce filantropowi, tyle bowiem zadań, tyle myśli nowych i świeżych, tyle pomysłów zbawiennych snuło się po jego głowie, wykonać zaś tego nie było sposobu z braku środków pieniężnych.

Pokochali się gorąco, a miłość była czysta, idealna, jedna z tych miłości wielkich, które kończą się tylko w grobie. A jednak on pożegnał ten świat jako kawaler — ona po wielu latach zesłała do mogiły w stanie dziewiczym. Dlaczego tak się stało, gdy mogło być zupełnie inaczej i gdy na pozór nic nie stawało na przeszkodzie w skojarzeniu się tej pary?

Tu właśnie tkwi cały tragizm, wywołany dziełami wprost pojęciami, które panowały podówczas, a i dziś, niestety! nie zostały do cna wykorzenione w W. Ks. Poznańskim. Marcinkowski był synem ubogiego szynkarza, panna Emilja osobą z wysokiego rodu; on był do końca życia niezamężnym, pomimo szalonych dochodów i spartańskiego życia, ona zaś rozporządzała wielkimi obszarami ziemi, pałacami, kapitałami. Zbyt szlachetnie ambitny, ażeby zniósł na sobie bodaj cień podejrzenia, że wciska się w sferę nieswoją, lub że zgoła nawet łakomi się na posag miljonowy, wielki człowiek wolał zadać sobie gwałt, i choć serce rwało się w kawały, nie chciał, nie mógł stanąć na ślubnym kobiercu z kobietą ubóstwianą. Dla świa-

ta pozostali oboje ludźmi, obcy sobie, ale duchowa łączność przetrwała w całej pełni. Nie było rzeczy, którąby pomyślał Marcinkowski, ażeby najlepszej, najdoskonalszej pomocnicy nie znalazł w pannie Emilji. Każde zapoczątkowanie poparła materialnie, a przede wszystkim moralnie.

Karol Marcinkowski nie doczekał plonów pracy swojej, zmarł bowiem dnia 7 października 1846-go roku, doczekała się jednak tego panna Emilja, która w domu swoim, w całej działalności, bardzo szeroko podejmowanej, nie ustąpiła ani na włos od zasad swojego mistrza i człowieka ukochanego. Podczas krwawych potyczek pod Wrześnią, Miłostawiem i Książem panna Sczaniecka spełniła, jak prawdziwa Polka, swój obowiązek. Cała armja panien i wychowanic zajęta była rwaniem szarpi, dozorowaniem chorych, obmywaniem ran, niesieniem ulgi i grzebaniem ofiar kul pruskich, a tą armją dowodziła ona, zawsze pogodna i łagodna, dążąca ze słowem pociechy na ustach i hojną ofiarą w dłoni. Ofiarności wielkiej dowody składała również później, że zaś jako kobieta światła, o szerszych poglądach, ceniona była wysoko, więc też utrzymywała stosunki z wszystkimi niemal ludźmi wybitnymi owego czasu. Być przypuszczonym do jej domu i znaleźć się w jej otoczeniu należało do zaszczytów wielkich.

Cicha miłość, którą przemogła i schowała na dnie serca, zamiast złamać życie i wytworzyć zgorzknienie dla świata i ludzi, przeciwnie, podniosła

pannę Emilję. Chciała i umiała być godną miłości wielkiego człowieka.

Są niezawodnie kobiety w dziejach, które większe od niej położyły zasługi, ale na tym szmacie ziemi, noszącym urzędową nazwę Wielkiego Księstwa Poznańskiego, a zwłaszcza w ówczesnych warunkach, panna Emilja Sczaniecka tak góruje nad innymi, że staje w szeregu tuż obok Kludji Potockiej. Nie ustępowała jej ani w patriotyzmie szczerym i gorącym, ani w ofiarności na cele dobra ogólnego, ani w całym życiu bez skazy.

Po śmierci męża swojego, świetnego i nigdy w literaturze polskiej niezapomnianego „chirurga filozofii“, wdowa po nim, Paulina z Lauczów Wilkońska, sama na owe czasy dość rozgłośna autorka, osiadła na stałe w Poznaniu. W Warszawie pozostawiła spore grono przyjaciół, z którymi się żyła i z którymi wspólnie przeżyła okres t. zw. „Cyganeryi“ — w Poznaniu, po latach głodu i chłodu, który jej nieraz dokuczał, zaznała pewnego ukojenia. Otrzymawszy po zamożnych rodzicach w spadku pospołu z siostrą, panią Radońską, śliczną wieś Siekierki, mogła Paulina Wilkońska wieść żywot względnie spokojny i oddawać się tworzeniu powieści, oraz spisywaniu pamiętników z owych burzliwych lat, poprzedzających krwawą zawieruchę 1863-go r.

Materiału do kreślenia bardzo zajmujących pamiętników nie zabrakło jej z pewnością, rzadko bowiem kto miał tak rozległe stosunki, jak państwo Wilkońscy. Nie zabrakło także ani ochoty, ani

czasu, gdyż pracowitością odznaczała się bezdzietna autorka wielką. Dziwić się przeto należy, że to wszystko pozostało niewyzyskane i w druku znalazły się zaledwie okrucy, zatytułowane skromnie: „Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem w Warszawie“.

Czy Paulina Wilkońska skreśliła coś więcej w tym rodzaju, niewiadomo, jak również niewiadomo, co się stało z rozległą korespondencją jej i męża, a przede wszystkim, co się stało z pamiątkami, których ona strzegła, jak oka w głowie, a które zasługiwały w pełni na przechowanie w muzeum.

Do takich pamiątek pilnie strzeżonych należało „album“, albo, jak to onego czasu prawdziwie z polska po warszawsku nazywano „sztambuch“, księga formatu dużego oktawo, na której białych kartach każda, bodaj odrobinę wybitniejsze stanowisko zajmująca osobistość, a odwiedzająca gościnne salony na pierwszym piętrze w ceglastym domu na Piekarach, musiała wpisać czy sentencję pewną, czy życzenie, czy choćby tylko swoje imię i nazwisko.

Któż tam nie zostawiał śladów po sobie w tym albumie pani Wilkońskiej! Można rzec, iż nie było w Warszawie i Poznaniu jednostki wyrastającej ponad tłum szary, któraby odmówiła prośbie pani Wilkońskiej i nie położyła swojego podpisu w tej księdze.

W chwilach smutnej zadumy nad nieziszczonymi snami młodości dostojna właścicielka tego al-

bumu, bo dostojność była wrodzona tej zawsze czarno, skromnie ubranej, a pomimo to wytwornej pani, przerzucała żółkniejące stronice i niejedna łza spadała z mądrych i łagodnych jej oczu.

Ale nietylko dla właścicielki posiadało to album wielką, nieocenioną wartość, miało nią ono dla każdego, kto umie cenić narodowe pamiątki.

Kto też z pietyzmem brał tę księgę do ręki, ten mógł tam prawdziwe perły łowić pełną garścią. Weźmy dla przykładu choćby tylko cztery oddzielne kartki sztambucha pani Wilkońskiej! Te cztery kartki mówią nam ogromnie dużo, nietylko bowiem wyborny i pełen wdzięku dają obraz rozwoju społecznych wyobrażeń, ale, co rzeczą jest nie mniej cenną, w pięknej formie poetycznej odzwierciedlają poglądy nie bylejakich mocarzy pióra.

W albumie skrzyżowali z sobą szpady: Antoni Czajkowski, Teofil Lenartowicz, Włodzimierz Wolski i Aleksander Niewiarowski. Z niczego to poszło. Uproszony przez Paulinę Wilkońską podczas bytności swojej w Warszawie profesor historii prawa polskiego w uniwersytecie petersburskim, Antoni Czajkowski, wysoko podówczas ceniony, a dziś prawie zupełnie zapomniany autor wielu dzieł i bynajmniej nie tuzinkowy poeta, którego „Baśń o Żelaznym Wilku“ zwłaszcza wszędzie z zajęciem była czytana, wziął album do ręki i na poczekaniu skreślił wierszyk taki, jaki musiał wyjść z pod jego pióra. Czajkowski pałał bezgraniczną miłością dla owej Polski, w której „szlachcic na zagrodzie

równy był wojewodzie“. Liberum veto, buta Pa-skowska, pospolite ruszenie, brak wszelkiego przy-musu podatkowego — to były ideały Antoniego Czajkowskiego, bo, jak pisał: „ta nasza Polska nie jest niemiecka w handlu, nie angielska w Indjach, lecz matka, w której bogaty ma *od* Boga, ubogi ma *u* Boga, a wszystkich żywi ziarno boże—zboże“.

Od tych ugruntowanych silnie poglądów swoich nie odstąpił Czajkowski ani na chwilę, nie odstąpił też nawet wtedy, gdy mu przyszło lekki, zda-wałoby się niewinny, zdawkowy wierszyk skreślić do albumu pani Wilkońskiej. Oto, co mówi:

„Chcesz pamiątek? Więc w pamięci
Niech się stara Polska święci!
Lecz rodzima—nie niemiecka,
Więc nie szewska, lecz szlachecka.
Owdzie szlachta, jak oliwa,
Po wierzchołku tylko pływa,
U nas szlachta—to kość z kości,
Gminowładna wśród miłości.
U nas szlachta nie oliwą,
Ale z ludem jedno piwo,
Co to cicho pływa w kadzi,
Ale korek wnet wysadzi“.

W kilka dni później dom państwa Wilkoń-skich odwiedził rzewny lirnik mazowiecki, któremu pani domu podsunęła również album, prosząc o drobny wierszyk. Autor „Zachwycenia“ i „Bło-

gosławionej“ nie odmówił, ale kiedy zaczął przerywać kartki, spostrzegł wierszyk Czajkowskiego i uważając go za rodzaj wyzwania do pojedynku poetycznego, taką Teofil Lenartowicz nakreślił odpowiedź:

„Żeby pracę uprzytomnić,
Czyliż wam ją trzeba wspomnieć?
Ten się pewno z nią ociąga,
Komu radzi wspominają.
Więc choć różne piewce grają,
Ja bym nie dał i szeląga
Za ich pieśni, zachęcania
Do stałości, do wytrwania! —
Róbmy, jako Bóg przykazał,
Bez przypomnień, bez czułości,
Jako Chrystus grzechy zmazał,
Tak my zmażmy błąd starości.
Lecz po szewsku, nie szlachecku,
I po polsku, nie niemiecku,
Z piórem, z szydłem, z czem kto może,
Dalej dziatwo—pomóż Boże“!

Nie skończyło się na tej utarczce słownej dwóch poetów, niezadługo bowiem zjawił się trzeci szermierz niepośledniej miary, a był nim typowy „Cygan“, autor „Halki“, „Ojca Hilarego“, „Domku przy ul. Głębokiej“ i t. p.--Włodzimierz Wolski. Czyż się dziwić, że Wolski do głębi musiał się uczuć wstrząśniętym, gdy w albumie przeczy-

tał takie „herezye“? On, który na wnukach gotów się był mścić za to, że dziad „panicz otumanił go-łąbeczka, jak śnieg białego“, nie mógł pozostać dłużnym odpowiedzi wielbicielowi szlachty i mieszczuchów. Siadł tedy przy biurku i nie napisał już, ale „rąbnął“ wiersz, niepozbawiony dużej siły i wielce oryginalnych zwrotów poetycznych:

„Jakiejs̄ dziwnej pieśni chcecie,
To barwistej, to jałowej,
Niby wiecie i nie wiecie,
Że pieśń serca mówi słowy,
A choć wrzawa, strach i bieda,
Serca głos się stłumić nie da.
Temu przeszłość, jak oliwa,
Wciąż po wierzchu myśli pływa.
Drugi mówi trocha twardziej,
Całą młodych mar swoboda,
Całą piersi siłą młoda,
Czynu woła, ale gardzi
Matką swoją, pieśnią gardzi
Pieszczot jej niegodny syn.
A wiecież, co wywoła czyn?
Pieśń to jedna tylko broń. —
Lecz, żeby jej twardy dźwięk,
Pałac serce, zbroił dłoń,
Nie po pańsku i niemiecku,
Nie po szewsku i szlachecku,
Lecz po chłopsku z sierpem, z kosą,
Tnąc kolczastych chwastów pęk,

Kiedy dziewczki snopy niosą,
Mazowiecką nutą oną
Grzmijcie!—aż ta Wisła stara
Zarumieni się czerwono,
Aż jej brzegi hukną głośno
I boleśnie i radosno:
Naprzód chłopcy! Naprzód Wiara“!

Dysonans, jaki w tym sporze poetyckim wywołał Włodzimierz Wolski, pragnący nawet Wisłę krwią bratnią zarumienić, byle chłopca wydobyć na czoło narodu, musiał razić właścicielkę albumu. Zbyt subtelną była Paulina z Lauczów Wilkońska istotą, ażeby nie doznała niesmaku po przeczytaniu tych strof. Odczuł to najwidoczniej czwarty z poetów, pisarz ogromnego talentu, jeden z najznakomitszych, jacy kiedykolwiek byli, felietonistów polskich, ale niestety! człowiek niezrównoważony, dziwnie lekkomyślny, a co gorsza, sprzedający z lekkim sercem przekonania swoje każdemu, kto zapłacił hojniej. Aż wierzyć się wprost nie chce, że ten wiersz przepiękny, którym zamknięty został pojedynek poetycki w albumie Wilkońskiej, wyszedł z pod pióra Aleksandra Niewiarowskiego. Ha! pokazuje się, że pomiędzy słowem a czynem istnieć może przepaść niewyrównana. Niewiarowski utrafił jedynie we właściwy ton, a myśli swoje przyoblekł w tak piękną szatę, że wiersz jego nie tylko o całe niebo stoi wyżej od rymów trzech poprze-

dników, ale stanowi nawet prawdziwą perelkę w literaturze polskiej. Posłuchajmy:

„Trzech tu wieszczów potroiście
W trzy bardony się ozwał;
Pierwszy wyrzekł uroczyście,
(A papiście tak przystało),
Że nie ze krwi, z serca bicia,
Świętych rzeczy miłość wstaje,
I symbolem zrobił życia
Dyplom, co szlachectwo daje!!
Drugi szewców od warsztatu
Chce oderwać, by szydłami
Wywalczyli wolność światu!
A ostatni znów z chłopami
Chce po chłopsku szczęście stworzyć
I historyzm wraz z berłami
W demagogii dłonie złożyć!
 Ja was, bracia, nie pojmuje,
 Ni różnicy stanu wtedy,
 Kiedy dłoń się z dłonią skuje,
 By rozszarpać harpię biedy!...
 Wtedy wszyscy, co powstają,
 Każdy, w kim się życie budzi,
 Wszyscy jedno imię mają,
 Jedno wjelkie imię *Ludzi*...
Więc nie działać po szlachecku,
Chłopsku, szewsku, ni niemiecku,
Lecz *po ludzku!* Z prawdą, z wiarą,
Z anielskimi pojęciami,

Myśl swobody, matkę starą,
Wypiaستować, by czynami
Odmłodniała i ożyła,
Piękna, jak w dniach wiosny była!
 Życie znaczy się czynami,
 Śmierć bezwładność ma wyrazem,
 My więc bracia, my pieśniami
 Walczmy razem, zawsze razem.
 Bo, co zmarło, to niech gnije,
 Lecz co żywe, niechże żyje!

Już dla tych czterech kartek wartoby doprawdy zadać sobie trud odszukania spoczywającego gdzieś między szpargałami albumu Pauliny z Lauzczów Wilkońskiej. Piszący te słowa widział i miał nawet nieraz w ręku, jako wyrostek kilkonastoletni, tę cenną pamiątkę, jeżeli zaś zdołaliśmy uratować z całości chociaż te cztery brylanciki, to zawdzięczamy taki traf szczęśliwy temu, że kartki owe przepisał jeszcze w r. 1870-ym jeden ze stałych bywalców w domu autorki, ś. p. Witold Hłasko, który jako redaktor pisma obrazkowego p. t. „Sobótka“, przyczyniał się wielce w swoim czasie wraz z Władysławem Bełzą i Władysławem Ordorem do ożywienia ruchu literackiego na ziemi wielkopolskiej.



Gorszący zatarg nad prochami
królów polskich i samobójstwo
magnata wielkopolskiego. ==



Ktokolwiek podczas swojej wycieczki wakacyjnej, dążąc do „badów” niemieckich, lub szukając wrażeń w okolicach Prus, Saksonji i t. p., zatrzymywa się bodaj w przelocie na ziemi Wielkopolskiej, w samym jej sercu—Poznaniu — ten przede wszystkim, stojąc już na peronie wspaniałego dworca kolejowego, rozglądać się zaczyna i pytać: „co w tem pseudo-niemieckiem mieście znajduje się godnego uwagi i obejrzenia“?

Na to pytanie każde dziecko polskie nie bez słusznej dumy odpowie rodakowi ze stron dalszych: „Przedewszystkiem udać się należy do katedry, tutaj ze skupieniem wkroczyć do Kaplicy Królewskiej i pomodlić się u grobowca pierwszych Piastów: Mieczysława I i Bolesława Chrobrego“. Dopiero po spełnieniu tej daniny prochom królów polskich wędrujcie dalej po Poznaniu, zatrzymajcie się przy Ratuszu, obejrzyjcie przewspaniałą Farę, zdejmijcie czapkę przed pomnikiem Mickiewicza, zwiedzajcie Muzeum Mielżyńskich, teatr i t. d. i t. d.

Ale pierwsze kroki trzeba skierować do Kaplicy Królewskiej.

Tak jest! To obowiązek każdego Polaka, który zawitał do W. Ks. Poznańskiego, jak pierwszym obowiązkiem przy bytności w Krakowie jest złożenie hołdu w podziemiach Katedry na Wawelu. „Dzieje swojej ziemi na grobowcach czytaj“!—woła Edmund Wasilewski, a wtedy przekonasz się, że możesz ludziom „w oczy spojrzeć śmiało“ i że „tobie w dół patrzeć nigdy nie przystało“. Kaplica Królewska jest chlubą Poznańczyków; żałować tylko przychodzi, że tak mało ona jest znaną ogółowi polskiemu w innych dzielnicach i że tak niewiele osób uważa za potrzebne zwiedzać nękaną krainę, w której niegdyś stała kolebka potężnego rodu piastowskiego.

O tem, że śmiertelne szczątki Mieczysława i Bolesława złożone zostały na spoczynek wieczny w Poznaniu, poucza nas każdy podręcznik historii, mniej natomiast wiadomą jest rzeczą, iż o te groby władców swoich nie troszczył się wcale naród za czasów chwały swojej i potęgi.

Zapomniano o nich wtedy, gdy oczy wszystkich skierowane były na Kraków, a później na Warszawę i gdy Poznań spadł do roli drugorzędnej wobec rosnących ciągle i kwitnących stolic. Dopiero gdy nad krajem gromadzić się zaczęły groźne chmury, gdy tron zaczął się chwiać, a bytowi Rzeczypospolitej zagrażać poczęła zagłada — dopiero wtedy, w połowie XVIII-go wieku, przy-

pomniano sobie mogiłę dwóch Piastów i postanowiono otoczyć ją taką pieczę, na jaką zasługiwała zawsze. W pierwszym rządzie wyrzuty za małe poszanowanie grobów odczuła kapituła poznańska. Stary grobowiec się walił, czas zrobił swoje, mogło też łatwo dojść do tego, że po upływie jeszcze jednego wieku potomni napróżno szukaliby śladów miejsca, gdzie spią pierwsi królowie polscy snem wiecznym.

Chwalebny zamiar kapituły postawienia nowego pomnika nie mógł być szybko urzeczywistniony. Chmury zebrane groźnie na niebie polskiem sprowadziły burzę, a wśród błyskawic, grzmotów i piorunów nie było pory odpowiedniej do zwracania się ku przeszłości. Nastąpiły trzy rozbiory, powstanie Kościuszkowskie, epopeja Napoleońska, Kongres Wiedeński i utworzenie W. Ks. Poznańskiego. Oderwani od pnia Wielkopolanie, mając sobie zagwarantowane dość rozległe swobody, rozpoczęli pracę nad skupieniem się i dźwignięciem z upadku, jednym zaś z zadań głównych było utrzymanie czucia z innymi częściami kraju i ochronienie Księstwa i jego stolicy od pokostu pruskiego. Kto chciał zachować odrębność narodową, ten musiał także dbać o zachowanie pamiątek narodowych.

Rozumieli to wszyscy, rozumiała zatem kapituła poznańska, której członek, podówczas kanonik, a później arcybiskup i prymas polski, ks. Wolicki, jako poseł z urzędu w sejmie prowincjo-

nalnym za rządów namiestnika ks. Radziwiłła, podał wniosek o wystawienie kosztem kraju nowego grobowca dla Mieczysława i Bolesława.

Mowa wygłoszona przez kanonika Wolickiego na posiedzeniu z roku 1827-go miała być perłą krasomówstwa, nie dziw przeto, że wywołała zapal nieopisany. Entuzjazm był tak ogólny, że nawet rząd berliński, który przecież od samego początku, pomimo wszelkich pozorów łagodności, dążył do zgermanizowania nowej „prowincji“ pruskiej, zawahał się płynąć przeciw prądowi i zatwierdził uchwałę sejmu w tej mierze. Pieniądzy nie dał wprawdzie, ale to była sprawa podrzędna. Natychmiast zawiadomiono ludność o uchwale i ogłoszono składki na ten cel.

Pierwszą hojną ofiarę na pomnik dla królów polskich w Poznaniu złożył król pruski Fryderyk Wilhelm III, jako drugi, nie mniej hojny ofiarodawca, zapisał się na liście składek cesarz rosyjski Mikołaj I. Jest to fakt historyczny, na który w obecnych czasach szczególniejszą warto zwrócić uwagę.

Kto tylko mógł, ten spieszył ze swoją ofiarą, w rezultacie też listę zamknięto bardzo poważną, jak na owe, czasy kwotą: 28,000 talarów. Z taką sumą można już było przystąpić do dzieła, wahało się jednak, czy pomnik postawić na placu publicznym, czy też w Katedrze. Osoby świeckie głosowały za wystawieniem pomnika na placu Katedralnym, kapituła zaś, jako główna inicjatorka, wy-

stąpiła z projektem pomieszczenia grobowca w jednej z kaplic bocznych Katedry. Decyzję pozostawiono królowi Fryderykowi Wilhelmowi, ten zaś z wielkim taktem usunął się od powzięcia postanowienia i prawa swoje przelał na komisję, którą z jego rozkazu utworzyli: książę namiestnik, kanonik (późniejszy prymas) ks. Przyłuski i hr. Edward Raczyński. Trudno o lepszy dobór ludzi. Wszak każde z tych nazwisk to osobna i piękna karta w dziejach W. Ks. Poznańskiego!

Niestety! często się to dzieje, a u nas w Polsce częściej, niż gdzieindziej, że człowiek, wzięty pojedynczo, ma wszystkie zalety: rozum, energję, dobrą wolę i umiłowanie sprawy; ale tensam osobnik wciągnięty do akcji zbiorowej, okazuje się albo nieprzydatnym, albo wybijale ambitnym, albo też krańcowo arbitralnym. W komisji rzeczonej, choć tylko z trzech ludzi złożonej, wystąpiły te ułomności tak jaskrawo, że rzecz sama, tak pięknie poczęta, zakończyć się miała w sposób niezmiernie przykry, wprost gorszący.

Nie myślę rzucać nawet najlżejszego cienia na wspaniałą postać ks. arcybiskupa Przyłuskiego. Wystarczy znać badaj pobieżnie dzieje ruchu wolnościowego w W. Ks. Poznańskim, ażeby uchylić czoła przed ogromnym patryotyzmem, ogromną powagą i ogromną ofiarnością tego Księcia Kościoła. Ale i on był tylko człowiekiem, a jako taki twór ułomny posiadał wadę wielką: upór, posuwany czę-

sto aż do zaciekłości w raz powziętych postanowieniach i poglądach.

Już nie upartym tylko, ale bezwzględnie arbitralnym, nieuznającym żadnej opozycji mężem był hr. Edward Raczyński. Wielki pan od pięty aż do czuba, mało potrzebujący dla siebie, ale zato garściami rzucający złoto na cele dobra ogólnego, niedostępny dla zwykłych śmiertelników, fantasta w życiu, raz tyran, to znów najczulszy opiekun dla podwładnych, imponujący nawet wobec równych sobie i nie bratający się z nikim, był hr. Edward Raczyński nawskroś Polakiem, i to Polakiem wielkiej miary. Jako taki zasługuje na cześć najwyższą i kto wie, czy w całych dotąd dziejach W Ks. Poznańskiego nie stoi on na najwyższym punkcie w świeczniku chwał narodowych. Kiedy cholera zdziesiątkowała ludność Poznania i lekarze orzekli, że jedną z głównych przyczyn jest brak dobrej wody do picia, wtedy Raczyński własnym kosztem zaopatrzył całe miasto w wodociągi i wystawił na placach publicznych wspaniałe fontanny. Kiedy rozbrzmiewać zaczęły hasła, ażeby drogą oświaty dźwigać naród, wtedy znów Raczyński pierwszy staje do apelu i funduje gmach wspaniały dla pomieszczenia w nim nadzwyczaj cennej biblioteki własnej, którą oddaje do użytku publicznego. A te wydawnictwa wspaniałe, te odkryte przez niego „Pamiętniki Paska“, te nadzwyczaj kosztownie wykonane „Wspomnienia Wielkopolski“ i wiele, wiele innych pomników literatury, które tylko je-

mu zawdzięczają ukazanie się na światło dzienne, czyż to mały tytuł do wdzięcznej pamięci u potomnych?

Hr. Edward Raczyński namiętnie kochał kraj ojczysty i wprost zazdrosnym był wobec tych, którzy przyznawali sobie prawo do równej miłości. Miał przekonanie, że krzywda mu się dzieje, gdy ktoś inny śmie również myśleć o uszczęśliwieniu narodu. Ja — albo nikt, moja wola — albo niczyja!

A tutaj król pruski powołał do zajęcia się sprawą budowy pomnika dla królów nie jego samego, lecz postawił obok niego namiestnika, księcia Radziwiłła i mizernego szlachetkę, który wtedy jeszcze nie był nawet przyobleczony w purpurę prymasa polskiego. Już od początku musiało to nurtować w duszy dumnego magnata polskiego, powaga jednak stanowiska ks. Radziwiłła i wielki spokój oraz takt namiestnika pozwoliły na prawidłowe rozpoczęcie prac wstępnych. Ale Radziwiłł wkrótce powołany został do Berlina i wówczas pozostał Raczyński sam z Przyłuskim upartym i, jak to mówią, nie pozwalającym nikomu grać sobie po nosie, choćby to był największy magnat wielkopolski.

Wytworny smak hr. Edwarda Raczyńskiego nie pozwalał na to, ażeby raz już rozpoczynając dzieło, poprzestać miano na banalnem załatwieniu sprawy. Mieczysław i Bolesław musieli posiadać pomnik wspianiały, któryby się stał ozdobą Poznania,

do tego zaś miasta magnat nasz wprost namiętnie był przywiązany. A chluba Poznania to chluba Polski całej! Przeworny kanonik Przyłuski radził stosować się do funduszów, ale Raczyński, jak zawsze dumny odpowiedzieć miał szorstko: „Choćby mi Zaniemyśl^{*)} przyszło zastawić u żydów, Poznań musi mieć po mnie pamiątkę. Proszę mnie to zostawić“; Po takim „dictum“ przyszły arcybiskup prawie zupełnie usunął się od prac w komisji i tylko jako stróż świątyni strzegł, ażeby ona nie została przeobrażona i skażona.

Raczyński został przeto sam i z gorączkową namiętnością, jak zwykle, rozpoczął czynności swoje. Rzucając dukatami na lewo i prawo, szukał najznakomitszych architektów, którzyby godnie sprostali zadaniu. Znalazł ich wkrótce w osobach dwóch Włochów, uznanych za mistrzów w sztuce architektonicznej: Lanciego i Cristopolego. Nie targując się ani chwili, powierzył im gruntowne przebudowanie wyznaczonej przez kapitułę kaplicy i tylko zaznaczył z naciskiem, że kaplica odtąd nosić ma nazwę „królewskiej“, więc też każdy, najdrobniejszy szczegół musi być prawdziwie „królewski“.

Zawrzała praca w starej katedrze, aż warczało wszystko, a Raczyński całe godziny spędzał, przyglądając się postępowi robót i poganiając sułtemi napiwkami mularzy i cieślów.

^{*)} Dobra „Zaniemyślkie“ są dziś własnością głośnej rodziny Kennemanów.

Spostrzegłszy, że już nadeszła pora odpowiednia, zaczął się rozglądać znów za rzeźbiarzem, któryby się podjął utworzenia pomnika. Wybór jego padł, oczywiście, na największą owoczesną gwiazdę, jaką był Chrystjan Rauch. Gdyby była większa znakomitość od Raucha, byłby ją Raczyński sprowadził choćby z drugiej półkuli.

I cóż wobec tego znaczyło 28000 talarów, zebranych w narodzie? Samo przebudowanie i urządzenie kaplicy kosztowało z górą 25000 talarów, a jeszcze nie odpowiadało ono wykwintowi Raczyńskiego. Czuła to żona fundatora i w ukryciu zakupiła przewspaniały obraz mozajkowy, który kazała umieścić przy ołtarzu. Ten obraz znów kosztował podobno 12000 talarów. A to dopiero częśćka, gdzie reszta urządzenia wewnętrznego, gdzie posągi królów? Rauch postanowił zedrzeć magnata polskiego i za pracę swoją wziął 28000 talarów. Ale cóż to znaczyło dla Raczyńskiego, który chciał i mógł stworzyć arcydzieło!

Wzamian za taką hojną ofiarę nie żądał fundator wdzięczności i tylko jedno miał pragnienie, ażeby na podstawie posągów królewskich, które przecież były darem, wyłącznie pochodzącym z jego ręki, umieszczony był krótki napis łaciński, świadczący, iż hr. Edward Raczyński wystawił te pomniki własnym sumptem. Takie drobne życzenie!...

Ponieważ jednak Raczyński nie zapytał się nawet Przyłuskiego o zgodę, lecz własnowolnie

kazał ten napis umieścić, więc obrażony kanonik podniósł alarm z tego powodu.

Zerwała się burza. Przyłuski napierał, Raczyński zawział się, a w całym W. Ks. Poznańskim powstał jeden wielki krzyk oburzenia. Zapomniano odrazu, że Raczyński dał Poznaniowi wodociągi i niczem tego nie uwiecznił, zapomniano, że podjął się kosztownych wydawnictw, że stworzył bibliotekę publiczną, a natomiast przypomniano sobie wszystkie jego wybryki wobec ludzi, jego szorstkość, dumę, obejście odpychające... Małostkowość wzięła górę. Ukazały się pisma ulotne, artykuły i zaczęto wołać, że Raczyński „nadużył zaufania“ i przywłaszczył sobie to, co zrobił nie on sam, lecz ogół cały.

A ten oskarżony nie ugiął się, nie uderzył w pokorę, drwił sobie ze szarego plebsu. Tego już było Przyłuskiemu i jego poplecznikom zawiele, skoro też w roku 1843 zebrał się sejm, powstał popularny wielce poseł, Pantaleon Szuman i wystąpił z wnioskiem, ażeby sejm podał prośbę do króla, wyrażającą wotum nieufności dla Raczyńskiego i domagającą się powierzenia komisji sejmowej całej sprawy pomnika. Król powinien odebrać rachunki od Raczyńskiego i król powinien nakazać zatarcie umieszczonego na posągach napisu. Na szczęście większość posłów uznała takie przeniesienie zatargu poznańskiego do Berlina za rzecz złą i Szuman przepadł z wnioskiem swoim.

Raczyński był jednak już do najwyższego sto-

pnia podrażniony i w sposób wyniosły podziękował wprawdzie za uchwałę sejmowi, ale równocześnie zawiadomił, że wszystkie pieniądze, owe 28,000 talarów, zebrane drogą składek, zwraca natychmiast „wraz z dużym procentem“. „Niechaj sejm rozporządza tą sumą dowolnie“ — zakończył list do marszałka sejmowego. Tej ofiary znów nie przyjęto, a huczek trwał dalej i umilkł dopiero wobec majestatu śmierci.

Zanim dobiegniemy do końca, musimy się jeszcze na chwilę zatrzymać na jednym szczególe, który charakteryzuje upodobania Edwarda hr. Raczyńskiego i sposób jego życia.

O 5 mil od stolicy W. Księstwa leży bardzo schludne i po dzień dzisiejszy bardzo polskie miasteczko, Zaniemyśl, przemianowane oczywiście z niemiecka na „Santomischel“. Ów mały Zaniemyśl, otoczony wieńcem wsi polskich, ma swoją kartę w historii, tu bowiem w r. 1331-ym rozegrała się walna bitwa i Krzyżacy haniebną ponieśli klęskę nietyle od szlachty, ile od chłopów wielkopolskich. Cała okolica jest historycznie ważna. W pobliżu słynny Kurnik hr. Działyńskich, o kilka wiorst Środa, słynna z swoich sejmików, również o kilka wiorst Śrem nad Wartą, o 1 i pół kilometra wieś Półwica, gdzie światło dzienne ujrzał najwybitniejszy z poetów wielkopolskich, autor „Don Juana“ i „Mysiej wieży“—Ryszard Berwiński.

Położony nad dwoma jeziorami i okolony lasami Zaniemyśl, w ostatnich latach Rzeczypospoli-

tej należał do możnej rodziny wielkopolskiej Jaraczewskich, że zaś ostatni właściciel miasteczka i licznych wsi przyległych nie posiadał potomstwa, przeto pan kasztelan obdzielił przed śmiercią hojnie wszystkich ubogich krewnych, a dobra Zaniemyskie dał jako „wiązarek pod poduszkę“ (słowa testamentu) chrześniakowi swojemu hr. Heliodorowi Skórzewskiemu.

Wspaniały to był wiązarek, oprócz miasteczka bowiem w skład dóbr zaniemyskich wchodziły włości: Wielkie Jezioro, Małe Jezioro, dwie Kępy, Półwica, Luboniec, Jaszkowo i lasy, po Kurnickich największe, a pozostające pod zarządem pierwszego w Polsce leśnika z uniwersyteckim wykształceniem, ojca autora tej książki.

Całe dobra przeszły tedy w dom hr. Skórzewskich, całe, z wyjątkiem wyspy, znajdującej się na środku nadzwyczaj malowniczego jeziora, wyspy drobnej, obejmującej zaledwie morgów pruskich (300-prętowych) jedenaście. Tę oazę, oblaną wokół wodami, upodobał sobie hr. Edward Raczyński i wszedł w jej posiadanie.

Nowy dziedzic zajął się swoją posiadłością miniaturową gorąco, uporządkował wyspę, zadrzewił, wyciął drogi i ganki, wreszcie wystawił śliczny, acz skromny, w dobrym guście pałacyk myśliwski. Ile razy, zmęczony gwarem miast wielkich, zapragnął hr. Edward Raczyński ciszy i ukojenia, zawsze śpieszył na wyspę i odcięty od świata snuł

bujne i rojne plany, z tą jedyną myślą podejmowane, ażeby dobrze służyć krajowi i rodakom.

Czasy to jednak były gorące, niespokojne, więc też pustką często przez lat kilka stał pałacyk na wyspie i tylko stary rybak, szlachcic z dziada pradziada, Rogowski, którego hrabia niby kustosz tutaj osadził, rozwieszał sieci, reparaował oka, i niespokojnie spoglądał ku miasteczku, azali z nad brzegu nie odezwie się głos pana i nie zagrzmi z oddali: „Rogosiu, łódź podawaj“!

A miał się o co troskać poczciwy Rogowski (znałem jeszcze tego starowinę), hrabia bowiem po chlubnem ukończeniu wyższego zakładu naukowego, gdzie poświęcał się głównie studjom lingwistycznym i przyrodniczym, wstąpił do wojska i jako adjutant generała Fiszera, obwoził swój ból polski po całym świecie i nadstawiał piersi we wszystkich niemal ważniejszych bitwach 1806-go i 1809-go roku. Po pokoju Tylżyckim bawił hr. Raczyński czas dłuższy na wyspie, z której wyrwała go wola współobywateli, ofiarujących mu mandat na sejm w r. 1812-ym.

Rozwiały się nadzieje, więc też hrabia nie mógł usiedzieć w cichem ustroniu pod Zaniemyślem. Puścił się w podróż i trawiony gorączką czynu zwiedził Szwecję, skąd udał się na wybrzeże Azji Mniejszej, był w Konstantynopolu, w Grecji i t. d. i t. d.

A Rogowski strzegł wyspy, jak oka w głowie, i czekał na powrót pana.

I powrócił hrabia w r. 1822-im, ale już inny, stateczny, uspokojony i zajęty jedną tylko myślą, ażeby pogłębić wysokie wykształcenie swoje i wzbogacić polską literaturę, polską naukę. W rok później ukazał się ozdobiony przepysznymi miedziorytami jego: „Dziennik podróży do Francji“.

Rogowski nie mógł wyjść z podziwu. Oto ten magnat, jeden z największych w całej Polsce, zaczął żyć jak pustelnik najmarniejszy. Nic dla siebie nie brał, wszystko oddawał na użytek publiczny. Na wyspę raz wraz przyjeżdżali uczeni panowie, rysownicy, artyści, pracowali tam wszyscy nad pierwszą, wielką mapą W. Ks. Poznańskiego, która jednak nie miała się nigdy ukazać w druku. Tam, na tej wyspie opracowywano też śmiały plan połączenia kanałem Niemna z Wisłą, tam naradzano się nad podniesieniem górnictwa w Polsce, tam urodził się projekt ufundowania w Poznaniu pierwszej polskiej szkoły realnej i t. p.

Nie wszystko, co powstało w głowie wielkiego patrioty w samotni na wyspie Zaniemyńskiej, mogło być wcielone w czyn, nie pozwoliły na to wypadki ogólnokrajowe, ale już to, co się wcieliło, zasługuje na wyrycie złotymi literami w dziejach W. Ks. Poznańskiego.

Zbyt dumny, ażeby pokazać po sobie jak bardzo go obeszło całe zajście z Kaplicą Królewską, Raczyński gryzł się jednak i trawił sam w sobie. Stał się jeszcze więcej szorstki, stronił od ludzi i najchętniej uciekał na tę właśnie wyspę jeziora

zaniemyślskiego. Tu, na tej wyspie dumał nad niewdzięcznością rodaków, od których brał kamień tylko za chleb, dawany chętnie.

Może ukojenie przyszłoby wreszcie, gdyby nie nowy cios, który spadł na obrażonego w swej godności magnata. Oto znalazł się ktoś taki, kto ogłosił, że hrabia nie powinien wysuwać swojego nazwiska na widok publiczny, bo to nazwisko splamione zostało frymarką przodków z wrogami Rzeczypospolitej.

Ten ostatni zarzut zabolął hrabiego strasznie. Wziął się do szperania w aktach rodzinnych, chciał obelgę rzuconą odeprzeć faktami i... i zadrżał. W papierach rodzinnych nie znalazł upragnionej broni...

Odtąd życie było mu tylko męką, okrutną męką.

Więc coraz częściej chronił się do swojej przystani na wyspie. Tetryczał, dziwaczał, zaczął stronić od ludzi.

Na wyspie był moździerz wiwatowy.

W roku 1845-ym, pewnego dnia bardzo upalnego (ściślej daty nie mam pod ręką) hrabia przybył znów na wyspę i był w wyjątkowo dobrym, jak później opowiadał Rogowski, humorze. Dowcipkował, bawił się z dziećmi rybaka, obdzielał przywiezionymi gościńcami i smakołykami.

Przybywając na wyspę, hr. Raczyński bardzo lubił zapraszać do siebie i dla rozrywki grywać w „marjasza“ z ówczesnym dziekanem zaniemyśl-

skim, nie zdziwił się tedy Rogowski wcale, gdy pan jego rzekł nagle:

— Popłyn—no, Rogoniu, na probostwo i poproś ks. dziekana. Ale niech zaraz nie przyjeżdża. Dopiero, gdy posłyszycie strzał z moździerza, przybywajcie natychmiast. A żonę i dzieci zabierz z sobą, przywieziecie z miasta różne towary od Jarnatowskiego. (Był to największy ówczesny kupiec w Zaniemyślu, typowy „Polonus“).

Długo czekano w ogrodzie ks. dziekana na wystrzał z moździerza.

Wreszcie rozległ się huk, echo brzmiało jeszcze po lesie, gdy ks. Rybicki, mając jakieś złe przeczucia, wsiadł do łódki i popłynął z Rogowskim na wyspę.

Tu oczom ich przedstawił się straszny widok! Dobroczyńca Poznania, fundator Kaplicy Królewskiej, leżał martwy na bujnej trawie. Rozerwała go na części kula wypuszczona z moździerza własnoręcznie.

W ten sposób skończył wielki pan wielkopolski, patryota, dobroczyńca, miłośnik sztuki i nauki. Dopiero wtedy poznano, jaką krzywdę wyrządzono człowiekowi o czystym sercu i hojnej dłoni. Całą winą Raczyńskiego było to, że nie umiał i nie chciał być popularnym, że nie trzymał się maksymy, głoszącej, iż „czapką, papką i solą ludzie ludzi niewolą“.

Dzięki staraniom ks. Rybickiego, który jaknajchlubniejsze złożył zmarłemu świadectwo swojej

władzy duchownej, okazały pogrzeb odbył się w Zaniemyślu, i kiedy ciało przyłynęło na łodzi z wyspy, sam ówczesny arcybiskup, hr. Dunin, poprowadził kondukt. Zwłoki spoczęły w kościele zaniemyślskim, gdzie też znajduje się pomnik hr. Edwarda Raczyńskiego.

Wyspa, zwana „Wyspą Edwarda“, jest dotąd w polskich rękach, ale w dobrach Zaniemyślskich obce dziś rozlegają się dźwięki, na jeziorze rybacy w niemieckim nawołują się języku, nawet w gmachach „Biblioteki Raczyńskich“ rozbijają się kustosze i skrypcy pruscy, wodociągi zastąpione zostały lepszymi, nowoczesnymi urządzeniami: jedna tylko Kaplica Królewska, ten kamień niezgody, ten powód tragicznie zakończzonego rozdźwięku, przetrwa wieki, a wraz z nią powinna przetrwać sława fundatora.



„Marcowe dni” i sojusz prusko-
polski w r. 1848.



Patrząc i śledząc to, co się działo i dzieje w ciągu ostatnich lat dziesiątków w Prusach, widząc rozpasanie potomków krzyżackich i wytężanie wszystkich sił ku wytępieniu ludności polskiej, prawie wierzyć się nie chce, że w tych samych Prusach, w tym samym Berlinie, gdzie dzisiaj kują się wszelkie prawa przeciwpolskie, powiał niegdyś inny wiatr dla nas i Polacy należeli do wybrańców, ulubieńców, do iudzi noszonych niemal na rękach.

Chwila ta trwała krótko, wykreślić jej jednak z historii nie będzie mógł żaden z oficjalnych dziejopisarzy pruskich, ani też nie mogą o niej zapomnieć ci wszyscy, którzy w sędziwym wieku dokonywają swojego żywota, a którzy może pod wpływem najnowszych prądów żałują i wstydzą się porywów młodości.

Dla nas, Polaków, ta chwila entuzjazmu pruskiego ma swoje niezmiernie doniosłe znaczenie, ona to bowiem popchnęła rozkołysany złudnemi

nadziejami naród do krwawego boju, ostatniego boju, stoczonego z nawałą teutońską, i ona też wycisnęła piętno na całym późniejszym ukształtowaniu się stosunków w tej dzielnicy Polski, która dostała się pod berło Orła Czarnego.

Jeżeli zaś kiedy, to właśnie na początku XX-go wieku godzi się przypomnieć synom i wnukom to, co się działo w pierwszej połowie ubiegłego stulecia, tem wyraźniej bowiem ukaże się całe pohańbienie dawnych ideałów. Wszakże to rząd berliński wystąpił z ohydny prawem o wywłaszczeniu, a lud pruski przez swoich przedstawicieli zatwierdził ten gwałt!

Jakże jaskrawo wobec tego przedstawia się epizod z dziejów Berlina i rola, jaką odegrali Polacy, epizod, który tu przedstawiamy w najogólniejszym zarysie.

Znane są wypadki z dnia 24-go lutego 1848 r., zasłę w Paryżu, wiadomo również, że rewolucja, która przyszła we Francji najzupełniej nieoczekiwanie, obalając tron Bourbonów, jak iskra elektryczna podziałała na wszystkie ludy Europy, zapalając umysły, budząc uspięone oddawna pragnienia.

Wołano, że nadeszła nowa „wiosna ludów“, a wieść ta biegła z krańca w kraniec, ruszył nawet Berlin, ten lojalny, spokojny Berlin, po którym nikt nie mógł się spodziewać jakiegoś wybuchu gorętszego.

W dniu 18-ym marca krew zaczęła się lać na ulicach stolicy Prus, a lała się tak zawzięcie i tak

gwałtownie przez 36 godzin, że rewolucjoniści ostatecznie opanowali plac boju i stali się panami sytuacji. Przykład stolicy oddział na całe Prusy, na całe Niemcy; wszędzie rozbrzmiewało hasło: „Wolność i braterstwo“!

Rzecz naturalna, że z tych nowych, a zupełnie niespodziewanie wytworzonych stosunków postanowiła skorzystać Centralizacja Wersalska, która pomimo wykrycia spisku w roku 1848, pomimo udaremnienia przez rząd pruski powstania na szeroką skalę i pomimo skazania w procesie moabickim wszystkich głównych kierowników ruchu, nie wyrzekła się raz powziętego planu dopominania się zbrojnie o prawa, przynależne narodowi polskiemu.

Centralizacja, wydawszy nakaz, ażeby się ślepo trzymała planu z roku 1846, postawiła sobie wobec rewolucji berlińskiej trzy zadania, które natychmiast należało wypełnić:

1) Utworzenie legjonów polskich, gotowych do współdziałania z armią pruską przeciw Rosji. Za to współdziałanie Prusy wywdzięczyć się miały przywróceniem niezależności Polski, złączonej z Prusami unią osobistą.

2) Rozwinięcie agitacji wśród pułków poznańskich i 3) Uwolnienie więźniów polskich, skazanych za spisek z roku 1846.

Pierwsze dwa punkty wymagały bądź co bądź dłuższego przygotowania, natomiast trzeci punkt mógł być zaraz skuteczniony. Należało tylko wyzyskać chwilę szалу wolnościowego, który ogarnął

flegmatycznych skądinąd berlińczyków i rozpocząć akcję bez zwłoki.

Jak się zabrano do dzieła, ażeby uzyskać uwolnienie moabitczyków, o tem trzy najlepsze źródła dziejowe (Kazimierz Rakowski „Powstanie 1848 roku“, Henryk Szuman „Wspomnienia“ i Marcelli Motty „Przechadzki po mieście“), trzy mniej więcej podobne, ale co do nazwisk działaczyw spreczne podają szczegóły.

Mojem zdaniem, najwierniej ten epizod przytacza prof. Motty, sąd zaś ten opieram na tem, że on właśnie był redaktorem prośby do króla Fryderyka Wilhelma IV-go.

Oto, co mówi Motty: „Zatrudniony dość daleko poza krajem, skoro tylko telegrafem nadeszła do owego miejsca wieść o toczącej się w Berlinie walce ulicznej, ruszyłem tam natychmiast. Gdy pociąg przybył do miasta, było to dnia 19 marca, między szóstą a siódmą wieczorem, zastałem dworzec pełen ludku wesołego, a konduktor, otwierając nam drzwi wagonu, zawołał uszczęśliwiony: *„Nun ist Frieden im Landel“* Zastawszy brata zdrowego, *bo się do awantur berlińskich zaden z Polaków nie mieszał*, poszedłem z nim na zebranie ziomków.

Gdy się nas zebrało niemal sześćdziesięciu, wystąpił zwołujący zebranie z wnioskiem, aby natychmiast napisać prośbę do króla o puszczenie Polaków uwięzionych, a potem wysłać deputację, któraby jeszcze tego samego dnia udała się na za-

mek i prośbę doręczyła. Jak wniósł, tak się stało. Czterech z nas poszło do pobocznego pokoju i ułożyliśmy prośbę. Potem wybrano trzech do wykonania reszty, a byli nimi: dr. Wojciech Cybulski, wówczas docent języków słowiańskich, dr. Remak docent medycyny, Żyd, syn dosyć ubogich rodziców, nietylko uchodzący za całkiem spolszczonego, ale co było już wtenczas rzadkością, sam się Polakiem mianował, trzecim zaś był właśnie Marceli Motty.

Otoż wszyscy trzej, ubrawszy się stosownie i zszedłszy się u Cybuskiego, pojechaliśmy na zamek po 9-tej wieczorem. Jazda nie była łatwa, gdyż w kilku miejscach leżało mnóstwo kamieni powyrywanych z bruku. Gdyśmy zajechali, zastaliśmy w sieni na dole kilku „bürgerów“ berlińskich w surdutach i kapeluszach, stojących z karabinami na warcie u schodów. Zapytali nas czego chcemy, usłyszawszy zaś, pochwalili nasz zamiar i jeden z nich poszedł na górę, ażeby o nas donieść.

Po kilkunastu minutach ujrzeliśmy księcia Wilhelma Radziwiłła, który powiedział, że J. K. Mość, jak łatwo zrozumiemy, w tej chwili nie może nikogo przyjąć, lecz, że on sam prośbę naszą przedstawi i poprze. Tak się też stało, a na drugi dzień nadszedł rozkaz do Moabitu, ażeby więźniów wypuszczono“.

Taka szybka decyzja wywołana została, jak twierdzi historyk tych czasów, dr. Rakowski, naleganiami prokuratora królewskiego, który pośpieszył przedstawić amnestję Fryderykowi Wilhelmo-

wi IV do podpisu, dając za powód, że gdyby ta amnestja nie wyszła od króla, to lud gotów zdobyć przemocą więzienie i sam uwolnić więźniów. Wynikałoby ztąd, że Radziwiłł nacierał z jednej strony na króla, prokurator z drugiej. Nie o to jednak chodzi tym razem: nas obecnie interesują tylko te objawy sympatji i entuzjazmu dla Polaków, które widoczne były w Niemczech od r. 1831, które ciągle wzrastały, aż wreszcie wybuchnęły całą siłą w dniu 20-tym marca 1848 roku.

Z podpisem króla w ręku prokurator, jak strzała popędził pierwszą napotkaną dorożką do Moabitu, natychmiast kazał przywołać więźniów polskich do sali sądowej, przeczytał amnestję i wezwał, ażeby „czem prędziej“ opuścili więzienie.

Ale zaledwie—mówi Rakowski—zdołał dokonać misji swojej, gdy tłum ludzi wyparł bramę, opanował wszystkie sale i wyprowadziwszy Karola Libelta, w tryumfie wsadził go do dorożki, wyprzągnął konie i zaciągnął przed pałac królewski. Po drodze więcej jeszcze przyłączyło się ludu i ciekawych. Cały ten tłum wysypał się na plac przed pałacem królewskim. Tu okrzykami: *Wilhelm raus!* wywołano króla na balkon. Król powitał uwolnionych z więzienia Polaków. Minister hr. Schwerin wygłosił przemowę do zebranego tłumu, wyrażając prawdziwą radość króla z tego, że ludność Berlina przyszła podziękować za uwolnienie więźniów, zakończył zaś apostrofę do Polaków, aby w chwili obecnej stali po stronie Prus.

W chwili obecnej! Wielkie słowo. Działo się to przecież w owej przelotnej chwili, gdy za główny punkt programu rewolucji marcowej uważano wojnę z Rosją. Lud wierzył, że król Fryderyk Wilhelm IV dla uniknięcia losu Ludwika XVI ratować będzie musiał tron wojną zagraniczną.

Zdawkowe frazesy hr. Schwerina nie zadowolili jednak Libelta, który sam przemówił teraz do tłumu i podniecał go, ażeby zażądał od króla nadania konstytucji i wolności prasy. Król przyrzekł. Wogóle w owym dniu i władca pruski i jego poddani zgadzali się na wszystko i przyrzekali wszystko. Przecież gdy Mierosławski w godzinę później, ujawszy „na znak braterstwa“ polską i niemiecką chorągiew trójkolorową w rękę, zażądał zgody berlińczyków na niepodległość Polski i wypowiedzenie wojny Rosji, ci berlińczycy, choć nie rozumieli jego płomiennej przemowy francuzkiej, zawtórowali okrzykami uznania. Wobec takiego nastroju dla Polaków ze strony ludności Berlina rząd musiał być porwany prądem. Wojna wisiąca w powietrzu, na dworze o niczem innem nie mówiono, a Polacy ważnym stali się atutem. Jak daleko posuwano się w uległości dla żądań polskich, świadczy fakt, że sam prezydent policji, Minutoli, zaproponował Polakom utworzenie oddziału osobnego straży bezpieczeństwa. Tej straży, tej gwardji rozdano broń z arsenału, pałasze huzarskie, ile zaś razy legia akademicka, dowodzona przez Henryka Szumana, niezbyt dawno zmarłego prezesa koła

polskiego w sejmie pruskim, ukazała się na ulicach, towarzyszyły jej entuzjastyczne okrzyki tłumu.

W siedzibie gwardji wywieszono biało-czerwoną chorągiew, błękitne zaś czapeczki legionistów ścigane były pałającymi oczyma rozmaitych Lizek i Gretchenek berlińskich.

„Wiara w pojawienie się oczekiwanej tak długo jutrzemki swobody, nienawiść do absolutyzmu, zapal do wojny z Rosją, oto — powiada cytowany poprzednio historyk — punkty wytyczne dążeń wypuszczonych z więzień skazańców. W imię tych dążeń starali się też oni obchód pogrzebowy ofiar walki na barykadach berlińskich przemienić na powtórne, poprawniejsze wydanie rewolucji w Berlinie; w imię tych dążeń sami gotowi byli położyć głowę gdziekolwiek bądź w obronie wolności, będąc pewni, że przebudzone z uspienia Niemcy i za sprawę polską chętnie nadstawią piersi“. Złudzenia te miały się rozwiać prędkiej, niż można było przypuszczać w owych kilku dniach gorących uniesień. Srodze omylili się moabitczycy, gdy opuszczając Berlin, stali Prusakom na pożegnanie takie frazesy: „Zawarliście z nami żywy sojusz braterski, sojusz, przypieczętowany szlachetną krwią bohaterów walk barykadowych. Sojusz ten trwać będzie dłużej, niż pocięte przez mole fałszu i przemocy pergaminy wszelkich sojuszów państwowych“.

Ta sama sroga omyłka odbiła się gorzej jeszcze w łudzeniu przez moabitczyków ludności polskiej w W. Ks. Poznańskim. „Cały naród niemiecki je-

dno tylko żywi życzenie, ażeby Polska powstała jako państwo niezależne, jako przedmurze od wschodu. Wątpić nie można, że kwestja polska niebawem będzie rozwiązana“.

Oszołomieni wynurzeniami uczuć braterskich ze strony Berlińczyków, wrócili w kwietniu skażący moabicy do kraju, ażeby dalej prowadzić agitację. A w Poznaniu wierzono, że zbawienie przyjdzie z ręki króla Fryderyka Wilhelma IV-go, że Berlin nigdy nie zapomni o Polakach. Najlepsze głowy, najtęższe charaktery oddawały się złudzeniom.

Nawet Gustaw Potworowski, ten nieprzejednany kandydat na prezesa Wielkiego Księstwa, nawet ognisty Jakób Krauthofer-Krotowski, nawet Ryszard Berwiński i ks. Prusinowski ufali rządowi i ludowi pruskiemu.

A cóż dopiero działo się na ratuszu! Niestrudzony Aleksander Mendych i Robert Rabski, jedna z pięknych postaci wśród mieszczan poznańskich, w dzień i w nocy, nie zmruczając oka, pracowali nad zaprowadzeniem nowego ładu i przygotowaniem pogotowia wojennego!

Jeden tylko człowiek z tych, którzy wkrótce zasłynąć mieli na polu walki, nie dowierzał tej przyjaźni z Prusakami, a był nim pułkownik pruski, obdarzony wysokim orderem, Feliks Białoskórski. Ten mąż przygotowywał w ciszy swojego gabinetu plany bitew nie z Rosjanami, ale... z Prusakami, a jak dobrze się przygotowywał, tego

dowiódł, urządzając pod Miłosławiem sławne „widelki“, w które wpędził cały pułk huzarów pruskich. Przekonano się niebawem, że przewidywania Bia-



Feliks Białokórski.

Nader rzadki miedzioryt, sprzedawany na dochód wdów i sierot po poległych pod Miłosławiem.

łokórskiego były trafne, nie upłynął bowiem nawet termin dwutygodniowy od owych uwielbień Polaków w Berlinie, a już butny generał Colomb,

wzewawszy obozy polskie do złożenia broni, rzucił pogardliwie słowa: „*Mit rebellischen Pollacken paktirt man nicht*“. (Ze zbuntowanymi Polakami nikt się nie będzie układał). W kilka dni później poszedł dalej jeszcze: „*Für Pollacken gibt kein Pardon*“. (Dla Polaczków nie ma pardonu!).

W dniu 19-ym nastąpił Koźmin, w dniu 22-im Odolanów, w dn. 25-ym Raszków. A potem... za-grzmiały działa pod Książem, Miłosławiem i Wrze-śnią.

A dziś? Oto nie ubiegło jeszcze nawet jedno stulecie od owego sojuszu braterskiego z Prusakami, a patrzymy na wywłaszczenie, i ten sam Berlińczyk, który w roku 1848 nosił na ręku Libelta, który przyrzekał pierś nadstawić za sprawę uciśnionych, który z całego gardła krzyczał: „*Noch ist Polen nicht verloren!*“ i powiewał choragwią czerwono-białą, dziś ten sam Berlińczyk lub jego potomek, w opętanym szale ciska „*Ausrotten*“ i brutalną ręką zdziera róże z białych sukien kobiet polskich dlatego, że to połączenie barw narodowych razi jego wzrok niemiecki. Liczenie na sympatje ludów gubiło nas zawsze, ale chyba jedną z najdotkliwszych nauk, w skutkach swoich najleśniejszą, było to rozczarowanie po owacjach berlińskich.

Wielkopolski Muciusz Scaevola

„Był to człowiek Rejtanom i Łukasińskim duchem pokrewny“...

Takimi krótkimi, lecz ogromnie wiele mówiącymi słowy charakteryzuje naoczny świadek tryb życia i czynów człowieka, o którym zamierzyłem słów kilka skreślić. Czyż można piękniejsze słowa wypisać na grobowcu Polaka nad te? Czyż można, bodaj po śmierci, większego dostąpić zaszczytu nad ten, że się jest stawianym tuż obok najbardziej świetlanych postaci w dziejach martyrologji polskiej?

I po takim mężu miałby zagaść ślad wszelki? Nie! i po stokroć nie. Dlatego też sędzę, że spełniam dobrze swoją powinność, gdy przed oczy czytelnika stawiam zapomnianego już zupełnie bohatera z owych burzliwych dni 1846-go i 1848-go roku—Wiktora Kurnatowskiego. Wszystkie znane mi encyklopedje milczą o nim, nie znają tego nazwiska—i jedynie w „Biblijografii“ Estreichera zano-

towano krótko istnienie mapy, wykonanej i wydanej przez niego.

„Kurnatowski“? Tak brzmiało jego nazwisko „urzędowe“, czy jednak naprawdę na chrzcie świętym dano mu imię Wiktora i czy istotnie należał do znanej rodziny tego nazwiska, to rzecz więcej, niż wątpliwa. Za tem, że mógł być „Kurnatowskim“ przemawia jedna tylko okoliczność, a mianowicie ta, iż wyznanie jego było ewangelicko-reformowane (kalwińskie). Że mógł nie być „Kurnatowskim“ przemawia wiele innych okoliczności, przede wszystkim zaś ta, iż pochodził z Litwy, gdzie ród ten wielkopolski nie ma swoich reprezentantów. Po śmierci bohatera opowiadano sobie tajemniczo, iż Kurnatowski był potomkiem wielkiej i możnej rodziny litewskiej, mówiono nawet o jego pochodzeniu z książąt krwi. Czy tak było? Trudno dociec. Tajemnicę wiedziało w W. Ks. Poznańskim tylko dwóch ludzi: wielki Karol Marcinkowski i znany obywatel polski, hr. Maciej Mielżyński, ci zaś dwaj mężowie, choć drugi z nich zmarł w 25 lat po zgonie Kurnatowskiego, tajemnicę tę ponieśli z sobą do grobu. Dla nas i dla historii ruchów wolnościowych w Wielkopolsce pozostać zatem musi tym, kim był na podstawie dokumentów, dostarczonych mu przez przyjaciół dla omylenia czujności władz pruskich. Zresztą nie o nazwisko, lecz o osobę chodzi w tym wypadku, a zaprawdę rodzina Kurnatowskich tajemniczemu litwinowi może być tylko wdzięczna za to, że nieskazitelnością

charakteru, bezgraniczną miłością ojczyzny i bohaterską śmiercią rzucił blask na nią.

O młodych latach Wiktora Kurnatowskiego już „eo ipso“ możemy wiedzieć to tylko, co sam opowiadał i czego się nie zapierał przed przyjaciółmi. Urodzony około 1810 roku Wiktor Kurnatowski po przygotowaniu odpowiedniem wstąpił do uniwersytetu w Wilnie. Nadszedł rok 1831 i Polacy wkroczyli na Litwę. Kurnatowski porzuca wszystko, rodzinę, stosunki i z ogromnym trudem przedziera się do korpusu generała Dezyderego Chłapowskiego. Chciał służyć jako prosty żołnierz, czego mu też nie odmówiono, traf zaś zdarzył, że przeznaczony został do tej samej kompanji, w której służyli dwaj bracia, hrabiowie Mielżyńscy: Seweryn i Maciej. Ci towarzysze broni odrazu poznali się na wartości Kurnatowskiego, a kiedy nastąpił niezaszczytny odwrót korpusu Giełguda i Chłapowskiego, kiedy wojska polskie, uchodząc przed niewolą, przeszły do Prus, Mielżyńscy zaopiekowali się szczerze kolegą. Na pewien czas musiał jednakże mniemany Kurnatowski zniknąć z horyzontu, zdaje się też, że przebywał we Francji, i dopiero w r. 1835-ym zjawił się w W. Ks. Poznańskim, posiadając jaknajbardziej prawidłowsze dokumenty legitymacyjne. Co prawda, każdy Wielkopolanin poznał przy pierwszym otworzeniu ust ze strony przybysza, iż ma z typowym, przeciągającym wyrazy Litwinem do czynienia; ale władze pruskie nie miały żadnego prawa czepiać się takiej drobnostki.

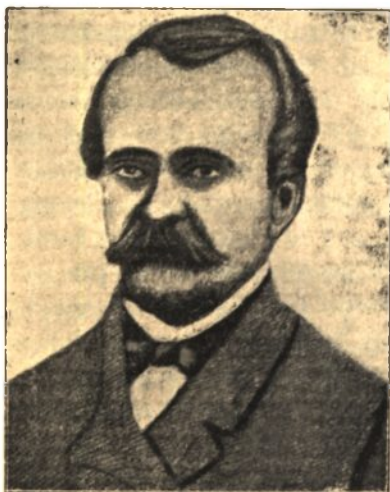
Przybywszy w granice W. Księstwa, Kurnatowski, nie zatrzymując się nigdzie, pojechał wprost do Chobienic, wspaniałej niegdyś rezydencji magnackiej Mielżyńskich, którą w sukcesji po przodkach otrzymał hrabia Maciej. Niestety! Chobienice później, dzięki złej gospodarce Radziwiłłów, a zwłaszcza tej pani, która wslawiła się procesem z Cécilem Rhodesem, zostały zaprzepaszczone i przeszły na własność Komisji Kolonizacyjnej. Prochy hr. Macieja i Kurnatowskiego poruszyły się chyba w grobie, gdy dokonywano tej ohydnej tranzakcji.

W Chobienicach bawił nasz bohater przez blisko rok, hrabia Maciej zaś, choć jak się rzekło, jeszcze podczas kampanji od razu poczuł afekt przyjacielski do towarzysza broni, nadzwyczajnie był wymagający od siebie i przyjaciół i gruntownie badał, zanim komukolwiek zaprzysiągł uczucie dożgonne. Był to więc niejako rok próby, ale Kurnatowski przeszedł go tak szczęśliwie, że Mielżyński dał mu następnie najwyższy dowód zaufania, powierzając dziecko swoje, jedyne go potomka męskiego, w zupełności opiece i kierunkowi przyjaciela.

Gdy się zważy, że Mielżyński był aż do przesady gorliwym katolikiem, Kurnatowski zaś twarzym, nieustępującym, nawet zawziętym kalwinem, to dopiero zrozumieć można, jak wysoko pan na Chobienicach cenił kolegę—litwina.

Z młodym Mielżyńskim Kurnatowski zjawił się, jako mentor, na bruku poznańskim, a zajęty

z pedantyczną sumiennością wychowaniem moralnym, naukowym i fizycznym chłopca, nie odrazu wszedł w stosunki towarzyskie z ówczesnymi ludźmi wybitnymi. „Twardy w życiu i niezłomny w zasadach — powiada kronikarz współczesny — Kurnatowski zamknięty był w sobie i nadzwyczaj mało-



Hr. Maciej Mielżyński.

mówny. Czasami tylko rozpogadzał oblicze, gdy się znalazł w towarzystwie ludzi, do których miał zaufanie. Wtedy nadzwyczaj piękna twarz jego, zwykle nieco ponura, przybierała wyraz dziwnie miły i sympatyczny“.

Z innego źródła wiemy, że był to człowiek bajecznej pracowitości. Jeżeli nie bywał w towarzystwach, to czynił tak dlatego, że nie chciał ukraść sobie godzin, przeznaczonych na naukę, a zwłaszcza na rysowanie, do którego czuł wielki pociąg, będąc obdarzonym talentem niepoślednim. Jak wielu innych, zajął gorąco Kurnatowskiego wynalazek francuza Daguerr'a. Zabawka to była kosztowna owo produkowanie dagerotypów, ale brat hr. Macieja, hr. Seweryn Mielżyński, który namiętnie oddał się sam tej „sztuce“, nie żałował pieniędzy i dzięki temu Kurnatowski doszedł do pewnej doskonałości i w tym kierunku.

To go nakłoniło do przerwania się na pole litografji, że zaś w Poznaniu nie było litografa polaka, więc Kurnatowski, wyuczywszy się poprzednio gruntownie tego fachu, otworzył własną pracownię. Gdy pracownia poszła dobrze, przy pomocy Mielżyńskich rozszerzono ją, a nawet otworzono duży sklep z materiałami piśmiennymi, obrazami, sztychami, dagerotypami i litografiami. Sklep robił wrażenie prawdziwego muzeum, hrabia Maciej bowiem kazał przenieść z Chobienic wszystkie ryzsztunki i stare zbroje dla upiększenia lokalu przyjaciela.

I byłby może Kurnatowski wiódł żywot błogi przeciętnego kupca, któremu interesa idą dobrze, gdyby nie ruch emisaryuszów w W. Ks. Poznańskiem. Na pierwszą wieść o przygotowywanem powstaniu litograf przypadkowy uchwycił się tej nit-

ki zbawienia z żarliwością i wytrwałością natury litewskiej. „Zamało powiedzieć, że Kurnatowski, obok niepospolitej odwagi osobistej i nieposzlakowanej zacności charakteru, był gorącym patriotą— czytamy u kronikarza. — Nie! u niego objawiał się wprost fanatyzm patrijotyczny. On odtąd żył tylko ideą i dla idei wyswobodzenia kraju, a ponieważ od pierwszej chwili silną wzbudził w sobie pod tym względem nadzieję i wierzył, że przedsięwzięcie śmiało odniesie skutek pożądany; przeto wbrew swojemu usposobieniu wrodzonemu, nagle stawał się coraz weselszym. Im bliższą była chwila stanowcza, tem Kurnatowski więcej promieniał na twarzy, nawet obcych ten mruk całował, ścisnął, ugaszczał“.

Przedewszystkiem jednak pragnął czemś się przysłużyć sprawie. Życie dać w ofierze, to jeszcze mało, trzeba zrobić coś więcej. Chcąc walczyć, potrzeba znać dokładnie teren, na którym ta walka ma się odgrywać, dowódcy zaś, przeważnie rekrutowani z emigrantów paryskich, topografię W. Ks. Poznańskiego znali tylko „po łebkach“.

Kurnatowski tedy zasiadł do pracy, dnie i nocie trawił, nie odrywał się od stolika, pożywał się na poczekaniu byle czem, od ludzi się znów odsunął i w końcu wygotował mapę Wielkopolski, jakiej nie było dotąd, nadzwyczajnie drobiazgową, ścisłą, dokładną. Dziś są, oczywiście, mapy lepsze, nawet doskonałe, ale na owe czasy było to arcydzieło, majstersztyk pracowitości benedyktyńskiej.

Mielżyńscy znów udzielili funduszów, mapę odbito w litografii Kurnatowskiego w tysiącach egzemplarzy z tym zamiarem, ażeby ją rozdać wszystkim spiskowcom.

Czy rząd pruski domyślił się celu puszczenia w obieg mapy, czy też własna nieostrożność i nadmierny zapał patryotyczny Kurnatowskiego to sprawiły, niewiadomo, dość jednak, że on, którego przepalała żądza czynu dla dobra ojczyzny, nie mógł wziąć udziału nawet w wybuchu miniaturowym, zainicjowanym przez ojca autora tej książki, Hipolita Trąpczyńskiego. W garstce junaków, dokonywających napadu na Poznań od strony Kurnika, nie było Kurnatowskiego. Pojmano go wcześniej, uwięziono i osadzono w Sonnenburgu.

Na kilka dni przed swoim aresztowaniem Kurnatowski na zebraniu spiskowców wystąpił z propozycją, która doskonale charakteryzuje męstwo jego i ofiarność dla sprawy narodowej.

W Poznaniu dla wytropienia rewolucjonistów zjawił się najsłynniejszy dotąd policjant berliński—Dunker i rzeczywiście sławny ten dedektyw zręcznie umiał pochwytać nici motka polskiego. Ale Dunker nie zdążył jeszcze zaraportować o tem do Berlina. Wtedy Kurnatowski wystąpił z wnioskiem, ażeby policjanta usunąć z drogi i sprawę tym sposobem ocalić. Przemawiał gorąco, sam ofiarował się zabić Dunkera, pomimo to jednak nie zdołał przekonać towarzyszków. Projekt wydał się spiskowcom szalonym i jednomyślnie go odrzucono.

Może i o tem dowiedział się Dunker i dlatego kazał wcześniej, niż innych aresztować Kurnatowskiego?

Uwięzienie i niemożność wzięcia udziału w wypadkach sprawiły patryocie naszemu ból dotkliwy. Cierpiał ogromnie moralnie, samotność zaś gnębiła go więcej jeszcze. Wszystko to jednak znosił cierpliwie, nie stracił wrodzonego spokoju i milczał uparcie. Pomimo to, że w więzieniu dowiedział się o nieudanym zamachu na Poznań, że wiedział, iż wszystkie sny jego i rojenia rozwiały się za jednym wiatru podmuchem, nie tracił jeszcze ducha. Nie udało się dziś, to uda się jutro, byle tylko honor narodu wyszedł z tego nieszczęścia w nowym blasku.

Niestety! — i tu właśnie zaczyna się tragedia życia i zgonu Kurnatowskiego — ten honor polski miał wyjść z opresji mocno poszamerowany. Przy badaniach i konfrontowaniu z naszym litwinem wielu z obwinionych, a szczególnie Nejman, który, jak to mówią, strasznie na wolności przedtem gardłował, a który później odegrał rolę wszystko wyśpiewującego „słowika“ cytadelowego, zachowaniem się swoim, trwogą o życie nędzne, zeznaniami taką wobec indagujących przybierał postawę, że prawy nawskroś Kurnatowski zrozumieć nie mógł nędzników. Wzbudzili ci rodacy tchórzliwi odrazę w mężnem jego sercu, krew uderzyła mu na mózg i popadł nagle „w dziką rozpacz“, jak powiada wspomniany wielokrotnie przez nas kronikarz. Ten szłał

rozpaczy przeminął jednak szczęśliwie, krew odpłynęła z mózgu, ale u Kurnatowskiego nastąpiło złamanie ducha. Zaczął wątpić o sobie samym, nawet o swoim harcie ducha.

„Co będzie, jeżeli i ja, podobnie do innych ulegnę?” — pisał z więzienia. — „Co będzie, jeżeli wzięty w pytań ogień krzyżowy, choćby mimowoli, pociągnę w przepaść współbrata? Takiej chwili dożyć nie chcę... nie mogę... nie mogę“...

Wiktor Kurnatowski, jako ważny przestępca, miał cclę oddzielną, nikt mu też nie mógł przeszkodzić w zamiarach zgładzenia się ze świata, które to zamiary powziął od chwili, gdy rzekł sobie owo „nie mogę“. Ale czem, w jaki sposób odebrać sobie życie?

Po wielkich i skrzętnych poszukiwaniach kilkodniowych w celi, więzień nieszczęśliwy znalazł nareszcie kawałek zardzewiałego gwoźdźca. Narzędzie okazało się niedostateczne, poraniło tylko trochę, sprawiło nieco upływu krwi, ale nie przyczyniło się do położenia kresu życia. Kurnatowski wpadł przeto na inną myśl.

Więżniom do obiadu przynoszono widelec drewniany i nóż, umyślnie nadzwyczaj tępy. Natychmiast po spożyciu zupy i kawałka wygotowanego mięsa dozorca zabierał te przybory. Było więc tylko tyle czasu, ile potrzeba na spożycie obiadu więziennego. Kurnatowski postanowił z tej krótkiej chwili skorzystać, ażeby wykonać samobójstwo przy pomocy owego tępego noża. Zrzucił

ubranie, koszulę, stanął przy oknie i zaczął krajać piersi, coraz głębiej, coraz w innym miejscu. „Ostatecznie po zadaniu sobie czternastu ran, doprowadził tępy nóż aż do płuca. Jeszcze jeden wysięk i nóż utonął w płucach“. Męczennik runął na ziemię krwią zboczony, wbiegli dozorczy, przenieśli konającego do szpitala, ale już żadne środki nie pomogły: Wiktor Kurnatowski cel swój osiągnął i ducha z więzów cielesnych oswobodził.

Śmierć jego wywarła potężne wrażenie w całym Niemczech, podziwiano straszną i wytrwałą zawziętość polaka-litwina, ale potem... wkrótce zapomniano o człowieku, który „Rejtanom i Łukasimskim duchem był pokrewny“.



Wynalazca płynu do piętnowania
powstanców polskich.



Ruchy rewolucyjne mają to do siebie, że wytwarzają bohaterów, że dają sposobność ludziom do okazania tego zapału, który wgryza się w ich serca i mózg, że nastęrczają pole do czynu i popisu jednostkom wybitnym, które w zwykłych, t. zw. normalnych warunkach, utonęłyby jako zwykli „zjadacze chleba“ w szarym, tuzinkowym tłumie. Ale z drugiej strony te ruchy rewolucyjne pozwalają wypłynąć na wierzch charakterom słabym i u takich charakterów wydobywają na widownię niskie, podle instynkty, które w innych okolicznościach, nie wybujałe nadmiernie i przyćmione, nie przyniosłyby szkody ludzkości.

W owych czasach burzliwych, gdy prąd wolnościowy wiał z krańca niemal w kraniec po całej Europie, w owych czasach wielkich pragnień i wielkich nadziei, w 4-ym dziesiątku lat ubiegłego stulecia, które opisujemy tutaj, żył w Poznaniu człowiek, o którym nic innego nie dałoby się powiedzieć, gdyby był w normalnych warun-

kach dokonał dni swoich, jak tylko, że był osobistością „porządną” i „uczciwą”. Okoliczności, warunki, słabość charakteru, nagłe ocknięcie się niskich, a przytłumionych siłą instynktów sprawiły, że ten człowiek, skądinąd bardzo przeciętny, przerobił się na łajdaka, więcej nawet, bo na... łotra skończonego. Nazywał się ów mąż, o którym tu mówić będziemy — Lippowitz i był Niemcem, chociaż samo przekręcone nazwisko wskazuje, że jego dziad czy pradziad musiał pochodzić z krwi polskiej i zwał się najpocziwiej w świecie „Lipowiczem”. Kim i czym był zresztą ojciec naszego bohatera, o to mniejsza, dość, że on sam nosił dumnie nazwisko Lippowitzów i jako młody chłopiec poświęcił się zawodowi aptekarskiemu. Pochodził z W. Ks. Poznańskiego, więc też tutaj odbył praktykę jako farmaceuta, następnie został „prowizorem” i po roku 1830-ym założył w gnieździe Leszczyńskich, w zniemczonem już podówczas Lesznie, własną aptekę. Szło mu tam nieźle i byt miał zupełnie zabezpieczony, mógł być też spokojnie wieść żywot małomieszczanina, gdyby nie wypadek, który Lippowitza wytrącił z normalnej życia kolei.

Zimą 1841-go r. pojawiło się w pismach francuskich zawiadomienie, że jakiś, nieznanym przedtem w świecie naukowym fizyk, nazwiskiem „Daguerre” „przymusił słońce do rysowania” (sic). Ta wiadomość, rozkolportowana przez prasę całego świata, a więc również przez pisma niemieckie i polskie w W. Ks. Poznańskim, wywołała sensację,

objawioną zarówno wielkim zachwytem, jak i wielkim niedowierzaniem. Czuli na wszystkie postępy wiedzy, znakomity księgarz i wiekopomny wydawca, Jan Konstanty Żupański, chcąc naocznie przekonać siebie i innych o wartości wynalazku, sprowadził z wielkim nakładem pierwszy „dagerotyp“ do Poznania. „Ma to być widok Luwru — pisał drwiąco feljetonista współczesny — ale taki niewyraźny, że musiałem go kręcić na różne strony i przyglądać się pod światło, nim obraz pochwyć mogłem“. Sensacja i zaciekawienie wzrosły jeszcze, gdy powagą wielką cieszący się filozof, Karol Liebelt, przywiózł w lat kilka później z Frankfurtu nad Menem, dokąd posłował, pierwsze udoskonalenie tego dagerotypu, czyli pierwszą naprawdę „fotografię“, odbitą tym razem już na papierze. „Co prawda, Liebelt musiał każdemu oglądającemu przysięgać, że to jest jego fizjognomja, gdyż nikt tego nie zdołałby odgadnąć inaczej“.

Te dagerotypy, te fotografie nie dały odłąd spokoju aptekarzowi z Leszna, Lippowitzowi. Uczuł się powołanym do wielkich czynów, sądził, że zrobi na poczekaniu miliony, więc też sprzykrzył sobie pigułki i mikstury, sprzedał aptekę, ruszył do Poznania i postanowił na poczekaniu przerobić się na wielkiego chemika. Po przybyciu do stolicy nad Wartą Lippowitz wynajął posesję, zwaną „Ogrodem Żychlińskiego“ i tu otworzył pracownię, „dagerotypując, co się dało“. „Ale mu to jednak

dość gładko nie szło — mówi pamiętnikarz z owej doby—chemikalja często niedość silnie gryzły (sic), płyty często się psuły, a ponieważ taka operacja była stosunkowo dość droga i trwała długo, bo trzeba było dwa, trzy i więcej razy siadać, przeto finansowa strona procedury pozostawiała wiele do życzenia*). Gdy zaś później nastaly prawdziwe fotografie, mniej jeszcze Lippowitz umiał sobie z nimi dać rady, zwłaszcza, iż sam fotografować nie potrafił, a o zręcznych retuszerów w owych początkach było trudno. „Przytem mocno się polskiemu światu naraził“.

To końcowe zdanie pamiętnikarza jest właśnie dla nas najciekawsze i dlatego też jedynie poświęcamy uwagę nieciekawemu skądinąd aptekarzowi, fabrykantowi, fotografowi i t. p.

Rzecz tak się miała z owem „narażeniem się polskiemu światu“. W W. Ks. Poznańskim rozpoczęła się już ruchawka w roku 1848-go i niezadługo odezwać się miały salwy karabinowe pod Książem. Lippowitz, jak to się zwykło mówić pospolicie, „gonił już resztkami“ i groziło mu zupełne bankructwo. Rozpacz ogarnęła przedsiębiorczego aptekarza i widmo głodu dla siebie i rodziny stało mu żywo przed oczyma. O tem położeniu Lippowitza dowiedział się słynny tępicieł polaków,

*) Cytując urywki pamiętnikarskie, pozostawiamy styl bez zmiany, chociaż czytelnika razić tu muszą wprost skandaliczne germanizmy. *(Przyp. aut.).*

generał „Papa Steinaecker“. Syn ten Marsa znalazł się w kłopotcie nielada. Z Berlina rozkazano mu postępować „względnie“ z polakami, nie więzić bez potrzeby, schwytanych zaś, lub uwięzionych powstańców wypuszczać na wolność, rezerwując sobie oczywiście śledztwo na później, jeżeli dadzą słowo, że nie powrócą więcej do obozu lub do partji. „Papa Steinaecker“ zastosował się do tego polecenia berlińskiego. Zagrzmiały jednak salwy pod Książem, a echo ich rozległo się, powtarzane skwapliwie w przeciwległych stronach W. Ks. Poznańskiego, pod Ostrowem i Odolanowem, pod Rogalinem i Stęszewem. Wojska pruskie zwyciężały i do niewoli dostawało się wielu powstańców. Ponieważ jednak „papa Steinaecker“ rozkazał jeńców puszczać na wolność, przeto odbierano od nich tylko „słowo honoru“ i odsyłano wolno do domów. Takie „słowo honoru“ lekceważyli polscy powstańcy, wkrótce też przekonano się, że dniem przedtem wypuszczeni gromadzą się nazajutrz w innych stronach i na nowo stają do walki.

„Papa Steinaecker“ poczuł się wobec tego bezradny, w końcu jednak powziął myśl, która wydała mu się — genialną. Oto „trzeba złemu zaradzić i owych zbiegów naznaczyć tak, iżby się nie mogli wyprzeć tożsamości swojej“. „Piętnować rozpalem żelazem, choć to był środek najprostszy — powiada cytowany już przez nas pamiętnikarz — nie uchodziło jakoś w owym perjodzie powszechnej wolności; postanowiono więc uciec się do chemji“.

Ale i tutaj nastęrczała się trudność wielka. Steinaecker wiedział, że uczonych, pomysłowych chemików znajdzie dosyć pomiędzy rodakami swoimi, wiedział jednak i to również, że uczciwy człowiek nie podejmie się tego rodzaju misji. A przecież należało wyszukać odpowiednią kreaturę. I wtedy wzrok jego padł na Lippowitza, o którym doniesiono generałowi, że jest człowiekiem lekkomyślnym i bankrutem. Groźny wódz pruski kazał przeto zawezwać do siebie tego fotografa-aptekarza, jako „znawcę”. Nie wiemy, jakie Lippowitzi komendat wyznaczył wynagrodzenie, musiało ono jednak być hojne, skoro dagerotypista nie tylko zgodził się spreparować miksturę do piętnowania Polaków, ale za pieniądze stąd otrzymane w krótkim czasie po powstaniu założył pierwszą w W.Ks. Poznańskim fabrykę nawozów sztucznych.

Już na drugi dzień po rozmowie z Steinaeckerem mikstura Lippowitza była gotowa. Z czego się ona składała, nie wiadomo, zdaje się jednak, że główną ingrediencją tworzył tutaj kamień piekielny. Wódz pruski, ogromnie rozradowany z „wynałazku” Lippowitza, kazał miksturę od razu zastosować w praktyce i „wszyscy jeńcy, znajdujący się w cytadeli i na punktach zbornych opuszczali miejsca kaźni z naznaczonemi: jednym uchem i jedną ręką”. „Na własne oczy — powiada pamiętnikarz — widziałem kilka takich egzemplarzy czarnych łap i czarnych uszu”.

Czyż nie wspaniały iście wynalazek i czy

Lippowitz nie powinien przejść do historii? Woskowe figury tego męża, jak również gen. Steinaeckera, który nie zawahał się w połowie XIX-go wieku piętnować ludzi, jak dzikie bestje, powinny znaleźć się w muzeum.

Lippowitz zarobił dużo, widmo głodu przestało go trapić, a Steinaecker okrył się sławą wiekuistą. I byliby oni niezawodnie otrzymali z Berlina wysokie ordery i odznaczenia, gdyby nie wypadek, że pomiędzy polakami napiętnowanymi znalazł się prawdziwy chemik, nie fotograf-aptekarz, który udowodnił, że trafia często „kuglarz na kuglarza“. Ów chemik tak długo badał swoją rękę, aż ostatecznie odkrył „antidotum“ i nie tylko sobie, ale i kolegom, tym „sociis malorum“, wywabił poczynione miksturą plamy. „Papa Steinaecker“ pienił się ze złości, a z Lippowitza drwili zarówno polacy, jak i Niemcy. Bezczelny wynalazca nie opuścił jednak Poznania i prowadził dalej swoje zakłady fotograficzne i fabrykę nawozów sztucznych aż do chwili, gdy po raz drugi powinęła mu się noga. Zbankrutował i zmarł w nędzy, na jego zaś miejscu osiedli Żydzi, którzy dorobili się milionów.

Synowie i wnukowie owych „piętnowanych“ Polaków może nie wiedzą już dzisiaj nic o owym Lippowitzu, niechajże więc ta notatka przypomni im owego męża i niechaj tą drogą wklejona będzie nowa, czarna karta do księgi, noszącej tytuł: „Ohyda pruska“.



Konfraternia kupiecka w Poznaniu.

Wskazówka dla badaczy dziejów handlu i prze-
==== myśtu polskiego. =====



Znakomity historyk, Ludwik Kubala, autor obszerniejszej rozprawy o „Handlu i przemyśle za czasów Stanisława Augusta“, kreśląc w jednym z cenionych szkiców swoich skromny żywot i opis cichej a pożytecznej pracy mieszczanina lwowskiego, żyjącego w wieku XVII kupca Markiewicza, wyraził nadzieję, że przecież prędzej czy później znaleźć się będzie musiał u nas badacz przeszłości, który nareszcie zabierze się do opracowania, do ujęcia w całość na mocy rozlicznych dokumentów i istniejących już monografii, dziejów mieszczaństwa polskiego. „Z chwilą doczekania się takiego dzieła — pisze Kubala — przekonamy się, że historia kraju nie była tylko historją jednej, uprzywilejowanej w narodzie warstwy.“

Od wypowiedzenia tych słów upłynęło lat sporo. Minęły one oczywiście nie bez wielkiego nawet pożytku; historjografia polska wzbogaciła się cennymi w tym kierunku pracami; dla badaczy odkryte zostały nowe źródła; wszelako

nie wyszliśmy jeszcze dalej poza monografię i nietylko na historję mieszczaństwa polskiego, ale nawet na historję jednego odłamu tego mieszczaństwa t. j. kupiectwa, czekamy napróżno. Ale już monografię same uczynić mogą bardzo wiele, będąc niejako cegiełkami, z których fundować będzie można snadnie wielki gmach nauki.

Jeżeli zaś gdzie doczekaćbyśmy się mogli najprędziej wyczerpującego obrazu historji kupiectwa, to w Poznaniu. Zasłużony badacz przeszłości, Józef Łukaszewicz stworzył trwałe podwaliny; jego „Obraz miasta Poznania“, lub „Opis miast i wsi“ tyle przedstawia materiału cennego, że potrzeba tylko odpowiedniej siły historyka, któryby chciał czerpać z tej skarbnicy, jak również z ważnych rozpraw polskich i niemieckich, jak n. p. Raczyńskiego „Codex diplomaticus Poloniae“, Warschauera, Wuttkego, Adlera, Herzoga i wielu innych.

Niestety! Poznań nie jest ogniskiem nauki, ludzie oddani tutaj ciężkiej pracy na chleb powszedni i walce o utrzymanie praw przyrodzonych „odkradać“ muszą sobie godziny, poświęcone zajęciom umysłowym. Stąd też pochodzi, że zadanie bardzo wdzięczne nie znajduje do tej pory wykonawcy chętnego. Stąd w dalszym, a naturalnym rzeczy porządku wypływa, że sami Poznańczycy nie znają przeszłości handlu i przemysłu swojego, a na tendencyjne wywody asystenta Królewskiego Archiwum Poznańskiego, dr. Kurta Schottmüllera

nie odpowiedział nikt, chociaż obfite materiały są i były pod ręką.

Dr. Schottmüller z racji 50-letniego jubileuszu istnienia poznańskiej „Izby Handlowej“ skreślił rzecz p. t. „Handel und Gewerbe im Regierungsbezirk Posen bis zum Jahre 1851“*), skreślił zaś ten zarys dziejów tak, jak się tego inaczej nie było można spodziewać wobec istniejących prądów. Zdaniem tego „uczonego“, życie kulturalne w Wielkopolsce rozpoczęło się dopiero z chwilą, gdy w r. 1253 na lewym brzegu Warty założyli Rycerze Krzyżowi niemieckie miasto Poznań i gdy z Malbarga zaczęto popierać usiłowania kupców niemieckich. Wprawdzie już Dytmar w swej kronice mówi o wystawnem przyjęciu cesarza Ottona III-go i o zbyt kownem zużywaniu kosztownych tkanin; to jednak dra Kurta Schottmüllera nie przekonywa wcale, a logiczny wniosek Łukaszewicza, iż handel i przemysł kwitnęły około 1000 roku w Poznaniu, budzi u autora niemieckiego uśmiech pogardliwy.

Kunsztowne, filigranowe i krusze dowodzenia te obalićby mogła instytucja o wiekowej przeszłości, o której istnieniu słuch nie wybiegł poza okopy miasta Poznania, a która, zwłaszcza w obecnych warunkach i stosunkach, doprasza się wprost o pióro historyka. Instytucją tą jest „Konfraternia kupców poznańskich“, od kilkunastu lat przemianowa-

*) Festschrift der Handelskammer zu Posen. Druk Dec-
kera i Sp. Poznań. 1901.

na najniepotrzebniej i najniewłaściwiej na „Korporację“.

Nie mam zamiaru, przy braku kompetencji odpowiedniej, przedstawiać całokształtu losów tego stowarzyszenia. Pragnę jedynie zapoznać szersze koła kupieckie z szczegółami nieznanymi i zwrócić uwagę na to, że w Poznaniu już od sześciu wieków stan kupiecki miał swoją organizację prawidłową. Jeżeli to zwrócenie uwagi na „Konfraternię“ poznańską, bądź tam nad Wartą, bądź też którego z naszych historyków zachęci do skreślenia monografii tej instytucji, cel pracy tej będzie dopięty.

Przedewszystkiem, pisząc o „Konfraterni kupców poznańskich“ zastrzedz się należy od wszelkich porównań z podobną instytucją, po dziś dzień istniejącą w Krakowie. O ile bowiem „Kongregacja“ krakowska zdołała utrzymać pełne swoje prawa i przywileje dawniejsze, o tyle stowarzyszenie poznańskie, jako bezsilne i pozbawione władzy, może być tylko uważane jako zabytek z przeszłości, zabytek niewątpliwie bardzo piękny i zasługujący na troskliwą opiekę. Od czasu założenia w Poznaniu przed pół wiekiem „Izby Handlowej“, Konfraternia do reszty utracić musiała swoje znaczenie i z szerokiego zakresu swoich działań zejść do roli podrzędnej. Niegdyś była to potęga, przed wyrokami „starszych“ i „podstarszych“ korzyć się musiał każdy, kto chciał zajmować się handlem w mieście Poznaniu, „Konfraternia“ nakładała obo-

wiązki na wszystkich kupców wszelkich wyznań, ona sterowała handlem w ścisłym znaczeniu, ona ułatwiała drogi zbytu, utrzymywała kosztem swoim bite gościńce i stanowiła strażę dla ochrony przejeżdżających z towarami.

A obecnie?

Władza, dyktowanie praw, w inne, silniejsze przeszło ręce. „Konfraternia“ żyje tylko wspomnieniami dawnej sławy, a przestawszy być panią samowładną, ograniczać się musi na spełnianiu misji skupiania w jedno zwarte grono rozproszonego kupiectwa poznańskiego. Głos przedstawicieli „Konfraterni“ nie waży na szali przy tworzeniu nowych porządków, o zdanie tej garstki „ostatnich Mohikanów“ nie dbają przedstawiciele „Handelskammerrów“, pomimo to żyje ona, może rozwija się trochę słabo, ale żyje i żyć będzie, dopóki poszanowanie tradycji nie zamrze wśród kupców tamtejszych.

I właśnie dla tej tradycji, której żywą przedstawicielką jest stowarzyszenie poznańskie, dzieje „konfraterni“ budzić muszą zajęcie szersze.

Dokładnej daty założenia „Konfraterni“ doszukać się do tej pory nie było można. W każdym jednakże razie faktem jest niezbitym, a zapiskami w aktach stowarzyszenia stwierdzonym, że powstanie „Konfraterni“ sięga czasów panowania Władysława Warneńczyka. W pięciu foljałach początkowych, przechowywanych z wielką i chwalebną starannością w aktach stowarzyszenia, spotykamy do-

dument z r. 1444, t. j. w przeddzień niejako pamiętnej bitwy pod Warną.

Już z tego dokumentu, który się wybornie do dni naszych dochował oraz z t. zw. „skrótów“ daje się dobrze odczytać, jak również z późniejszych „przywilejów“ królewskich wypływa, że stowarzyszeniu kupców poznańskich nadane zostały prawne podstawy istnienia. Bractwo, obowiązane ściśle trzymać się przepisów, dotyczących organizacyi wewnętrznej, równocześnie obdarzone zostało władzą dość znaczną, rozciągającą ramiona na zewnątrz i ogarniającą cały handel w Wielkopolsce. Broniąc znaczenia, powagi idei całego stanu kupieckiego, „Konfraternia“ starała się ustawicznie o rozszerzenie praw swoich i z wielką dbałością strzegła honoru całości. Od samego początku swego istnienia wywiesiwszy na czele godło chrześcijańskie, bractwo poznańskie nie wyrzekło się ani na chwilę służenia mu wiernie. Ta wytrwałość i korporacyjna jedność zdołały też sprawić, że z czasem „Konfraternia“ doszła do posiadania przywileju pobierania dziesięcin od innowierców, pod którą to nazwą rozumiano wyłącznie żydów i greków.

„Naprzód, któryby z obywatelów miasta Poznania—głosi przywilej króla Jana III (dan w Krakowie 20 maja 1676-go roku—chciał do społeczności braterskiej bractwa kupieckiego przystąpić, takowy ma się naprzód postarać, aby ad album civium miasta tutecznego był

przypuszczony, tedy dopiero powinien z dwoma pany mieszczany instancją do bractwa tego uczynić, aby był do społeczności brackiej przyjęty, gdzie wedle umowy i postanowienia brackiego jak będzie należało honorarium odda i już po wpisaniu do rejestru ma się wedle artykułów niżej opisanych jako i insi bracia sprawować“.

Inny przywilej, nadany przez króla Augusta II-go w Krakowie dnia 5 Października R. P. 1697 orzeka:

„Każdy, którykolwiek kupią jaką się tu w mieście bawi, albo kram z towarem jakim otworzy, bractwo kupieckie powinien będzie przyjmując, a jeźliby go przyjmując nie chciał, takowemu panowie starsi kupcy kram zamknąć będą mogli i handlu zakazać, jednak za wiadomością pana burmistrza na ten czas w mieście zostającego. *Item.* Każdemu z braci bractwa kupieckiego wolno będzie wszelkimi towarami tak zamorskimi, jako i tu z tej strony morza się rodzącymi, tak wodnymi, jako i słonimi jakiegokolwiek przezwiska będącymi i mianowanymi, od najmniejszego do największego, tak sztukami, łokciem, kamieniami i funtami, wiadrami, garncami, kwartami bez wszelkiej excepcyi przeszkody inszych bractw i osób jakichkolwiek kupować, przedawać,

handlować i inszych sposobów handlu kupieckiemu służących zażywać wszelkiego czasu. A in quantumby się któremu z braci przeszkoda jaka w handlu działa, tedy całe bractwo przytym powinno się oponować i wedle tego artykułu bronić. Aby panowie kupcy obcy, jeżeli z towarem jakimkolwiek nazwiskiem będący do Poznania (oprócz jarmarku) przyjadą, tedy nie powinni tegoż towaru żadnym inszym kupcom obcym albo Żydom tak całkiem jako i na wagę abo łokciem sprzedawać, tylko tutecznym, jeżeli w nim korzystać będą. Także jeźliby który kupiec obcy przyjechał do Poznania towar jaki lub sam, lub przez faktorów, meklerzów (oprócz jarmarków) skupować, mianowicie skóry, wełny, woski, łoje, pierze i insze in genere towary, w których jeźliby kupiec poznański korzystał lubby i u Żyda, tedy wolno mu w targ wstąpić i towar zapłaciwszy odebrać. A że by panom kupcom obcym do Poznania na jarmark przyjeżdżającym nie wolno było dłużej nad czas jarmarku kramów otwierać i sprzedawać sub confiscatione towarów, których mediotas aerario civitatis a druga do skrzynki brackiej będzie powinna należeć. Także i tych, którzyby społeczności braterskiej nie mieli abo i inne osoby, które ważyłyby się kramy jakiegokolwiek, abo towary publiczne oprócz jarmarków wykładać, abo też skrycie tak w szla-

checkich, jako też i w duchownych kamienicach przedawać; lub też i po innych gruntach miejskich jako to w budach pod ratuszem zostających zakładać, takowe towary mają być konfiskowane, to jest w kamienicy szlacheckiej cum adminiculo brachii castrensis a w miejskiej, za wiadomością pana burmistrza na ten czas będącego ze sługami miejskimi, także towary zabierać P. P. kupcy powinni. A by Żydzi poznańscy nie ważyli się nad prawa im opisane w handlach swoich rozpościerać się, także żadnego z braci w żadnej rzeczy, kupnie albo targu podkupować, osobliwie wełny przed wagą i innych towarach, gdyż im jest na to wyraźne prawo, także oprócz jarmarku bliższy będzie każdy z braci w każdym kupnie przed Żydem towary różnego w targ wstąpić, i pieniędzy przed nim położyć i towar odebrać. A by się żaden Żyd nie ważył sklepów tak dolnych jako i górnych w rynku albo i ulicach prócz samej żydowskiej najmować i otwierać i w nich towary jakiegokolwiek nazwiska ani funtem ani łokciem przedawać, tylko według opisanego w dekretach J. K. Mości między miastem a Żydami ferowanych; także też, aby żaden Żyd nie ważył się tak po rynku, jako po ulicach, przedmieściach miasta Poznania w koszałkach albo jakimkolwiek innym sposobem towarów nosić, i do domów z temiż towarami chodzić i prze-

dawać u bram miejskich Ich Mościów P. P. szlachty abo inszych jakiegokolwiek stanu ludzi przyjeżdżających oczekiwać oprócz w ich własnych ulicach; takie tedy towary roznożone, takim sposobem jako są w prawach i dekretach abo transakcyach z miastem z temiż Żydami postanowionych mają być zabierane, których połowa miastu, a druga połowa bractwu kupieckiemu należeć powinna. Żeby nikomu inszemu nie było wolno okrom braci bractwa kupieckiego zostającym faktoryami żadnemi obcym ludziom służyć. A by się żaden z braci kupieckiej lub przez się lub subordinowane osoby jeden drugiego w handlach, z kimkolwiek traktującego na szkodę albo ruinę podchodzić, i jemu pożywienia przejmować albo go w handlu szkodzić; takiego, któryby się znalazł w bractwie, p. p. bracia sądzić, i jeżeli się pokaże winnym, karać powinni wedle występku“.

Przywileje nadane przez królów polskich stowarzyszeniu przedstawiają poważną cyfrę 12-tu. Ponieważ zaś przypuszczać nie można, ażeby kupcy tamtejsi, którzy z pietyzmem przynależnym zachowywali w aktach wszelkie dokumenty, mieli zniszczyć choćby jeden dokument tej miary, przeto to, co obecnie znajduje się w archiwum korporacyi, tworzy niewątpliwie zupełnie zaokrągloną całość. Zadziwiać jednakże musi, że od czasn owe-

go pierwszego dokumentu Władysława Warneńczyka, przez ciąg półtora wieku, t. j. do r. 1576 nie znajdujemy żadnego śladu zwrócenia uwagi na Konfraternię, żadnego dowodu łaski królewskiej. Tem dziwniejsze to, że okres jagielloński był dla handlu poznańskiego okresem prawdziwie złotym. Łukaszewicz, a za nim nawet tendencyjni pisarze niemieccy, w rodzaju cytowanego już powyżej dr. Schottmüllera, stwierdzają, że w w. XVI-ym, obok Krakowa, był Poznań największym ogniskiem handlu polskiego. Kupcy tamtejsi rozległe prowadzili interesa, z produktami ziemi i przemysłu docierając w głąb Rosji nawet i Turcyi. Domy drewniane ustępowały wówczas spiesznie miejsca okazałym i trwale stawianym kamienicom, a kiedy w r. 1536-ym nawiedził Poznań wielki pożar, z pomiędzy 175-ciu domów, które legły w gruzach, doliczono się zaledwie 71 drewnianych.

W trwałych i przestronnych gmachach mieszczaństwa poznańskiego zaczął się krzewić zbytek tak wielki, że musiano wydawać prawa osobne, ażeby powściągnąć wyrzucanie pieniędzy na kosztowne stroje i luksusowe biesiady. W ślad za dobrobytem idąca duma i pewność siebie odbija się też na dziejach korporacyi. Ta duma i pewność siebie przebija np. w wydaniu surowej opinii na tych kupców, którzy pobocznie zajmowałyby się chcieli jakimśkolwiek rzemiosłem. W aktach korporacji doszukać się można wzmianek, że kupiec, mający się rękodzielnictwa przestawał być człon-

kiem Konfraterni i tracił osobne prawa, przywiązane do uczestniczenia w korporacji.

W przytoczonym już przywileju Jana III-go czytamy pod tym względem:

„Aby żaden rzemieślnik, tak uprzywilejowany jako i nieuprzywilejowany jakiegokolwiek rzemiosła nazwany, handlami się żadnymi nie bawił, jedno rzemiosła swego, którego się uczył, pilnował pod utratą towaru tego, którymby handlował. W d o w o m żadnym, aby im nie wolno było żadnych towarów предаwać, których mężowie w bractwie kupieckim nie byli, także i panom, których także rodzicy w tymże bractwie nie byli bez konsensu bractwa całego. Po śmierci brata każdego małżonke jego i dziatkom powinno być bractwo trzymane, synowie jednak, in quantumby który z nich jakimkolwiek handlem bawić się chciał, powinni bractwo przyjąć i dyskretyą dać. A jeżeliby małżonka pozostała po bracie kupieckim lubo i córka za rzemieślnika poszła, a potem handlem bawić się chciała, tym bractwo trzymane być nie ma i handlować nie powinny, podług punktu wyżej opisanego, także i synowie kupieccy gdyby się jakimkolwiek rzemiosłem bawili, bractwo im nie ma być trzymane. Cokolwiek bracia w bractwie postanowią, aby to przy sobie zachowali i trzymali pod winą, a gdyby co szkodliwego

bractwu było, tedy i rugowaniem z bractwa takowy ma być karany. A by ka ż d y z bra ci kupieckich miasta Poznania nie tylko w mie ście Poznaniu, ale i po innych miastach, mia steczkach do płacenia ceł zamkowych i kasz telańskich pociągany nie był i owszem wolny według praw i konstytucyi koronnych zosta wał. A p o n i e w a ż przywilejami swemi naj- ja śniej si królowie Ichmć Panowie Nasi Miło ściwi kontrybucyą pewną od centnara towaru w tychże przywilejach wyrażoną bractwu te- mu pozwolili, tedy i teraz oną podług tychże praw wybierać mają”.

Długotrwały pokój w kraju, najpewniejszy krzewiciel handlu, pozwalał za czasów panowania Jagiellonów kwitnąć i wzmacniać się stanowi miesz- czańskiemu w Poznaniu. Kupiectwu, cw. Konfra- terni wystarczały też przywileje. Dopiero za pa- nowania Stefana Batorego następuje pewien zwrot, który zdaje się świadczyć, że kupcy poznańscy, naciskani przez sąsiadów z Brandenburskiej i Śląska, dążyli do zabezpieczenia się przed konkurencyą i w tym celu coraz silniej starali się o taką organi- zacyę wewnętrzną, któraby im stała się obroną przed inwazyą obcych, niepożądanych żywiołów. Rozszerzanie zakresu działań z jednej strony, z drugiej zaś koncentrowanie, o ile możności, w rę- ku Konfraterni całej władzy, było niechybnie my- ślą przewodnią kupiectwa w prośbach do tronu.

A na wołanie możnych mieszczan poznańskich nie był głuchym ani Stefan Batory, który w osobnym dekrete z dnia 3 czerwca 1576-go r. udziela niektórych przywilejów Konfraterni, ani Zygmunt III (dokument z 1629-go r.), ani Władysław IV (dwa dokumenty 17 lutego 1633 r. i 26 lutego 1633), Jan Kazimierz (6 lutego 1649), Michał Korybut (26 października 1669), Jan III Sobieski (trzy dokumenty: 20 maja 1676 r., 30 kwietnia 1687 r. i 2 maja 1688 r.), August II (dwa dokum.: z r. 1697 i 17 kwietnia 1714 r.), August III (24 września 1739), ani szczególnie Stanisław August, który ostatecznie przez tak zw. „Komisję dobrego porządku“ ujął w statut wszystkie przez poprzedników swoich na tronie nadane przywileje.

Wymienione w liczbie 12-tu dokumenty tworzą już zabytek, którym „Konfraternia“ poznańska pochlubić się może. Własnoręcznie podpisane przez królów polskich dekry, zaopatrzone w pieczęcie, nie tylko jednak jako paniątka mają swe znaczenie pierwszorzędne. Badaczowi dziejów mieszczaństwa polskiego odślonić będą one mogły niejedną stronę ciekawą i wyjaśnić niejedną zawilść, tem więcej, iż obok tych podstawowych `niejako danych, znajdzie się obfite źródło w aktach i w późniejszej kronice Konfraterni. Akta bowiem przedstawiają się w całym znaczeniu bogato. Podzielone na 39 osobnych zeszytów, akta Konfraterni rozpoczynają się rokiem 1444, a w pięciu zeszytach obszernych zamknięte są sprawy od tej daty do 1796 r. Lata od 1797

do 1812 obejmują sześć zeszytów, poczem dalsze fascykuły dotyczą okresu od r. 1812 do dni naszych. Oprócz akt wielkiej wagi jest również protokularz, prowadzony w ciągu stu lat ostatnich, a więc zawierający dzieje handlu polskiego za panowania pruskiego. Szkoda wielka, że protokularz ten przerwany został w ostatnich czasach, należy jednak pragnąć, ażeby dzisiejsi sterownicy „Korporacyi“ wznowili tę dobrą tradycję, a nawet, ażeby rozszerzyli ramy i zamiast sutego notowania szczegółów z posiedzeń, rejestrowania powziętych uchwał i t. p. kreślili w protokularzu wszystkie znamienne fakta, wszystkie rozporządzenia, zmierzające do ograniczeń działalności kupców polskich, wszystkie bojkoty i krzywdy. Korporacya nie posiadając znaczenia na zewnątrz, działać powinna tak, ażeby ci, którzy przyjdą kiedyś po nas, wiedzieli, że zarząd nietylko dbał o przechowywanie pamiątek, ale jeszcze pracował dla przyszłości.

Jako rys ciekawy, dotyczący protokularza, godzi się zanotować, że prowadzony on był po niemiecku i dopiero w 7-ym dziesiątku lat ubiegłego stulecia wybitny kupiec poznański ś. p. Bolesław Leitgeber, jako sekretarz Korporacyi, wprowadził język polski.

Odczytanie tych wszystkich aktów, przy dokładnem wniknięciu w ducha czasu, nietylko popchnęłoby znacznie sprawę skreślenia dziejów kupiectwa, ale jeszcze rzuciłoby bardzo dużo światła i odsłoniłoby niejednen szczegół z życia mieszczan-

skich rodów poznańskich. Każdy zatarg pojedynczego członka „Konfraterni“ z miastem, każde pokrzywdzenie jednostki lub też jej wyniesienie odbija się na tych poźółkłych, lecz wybornie przechowanych kartach. Wątpić też nie można, że te-
rażniejsi właściciele domów handlowych ułatwiłyby historykowi zadanie. Sława dziadów spada na wnuków... i obowiązuje.

Ze „Konfraternia“ za czasów Rzeczypospolitej była potęgą, z którą liczyć się musiano zawsze i wszędzie, dowodzą statuty, ujęte dopiero w pewną jasno sformułowaną całość przez „Komisję dobrego porządku“.

„Każdy kupiec — mówi paragraf 44 statutu — w ogólności musi należeć do Bractwa pod zagrożeniem konfiskaty majątku“. Nie mogło zatem być w Poznaniu kupca chrześcijańskiego, któryby nie opierał się istnieniem swoim całym o „Konfraternię“. Skoro zaś na handlującego jakimkolwiek towarem (wolność procederową „pod każdym względem“ zastrzega § 54), wkładano obowiązek przynależenia do bractwa, przeto musiało stowarzyszenie czuć się tak silnem, że członkowi, każdemu wzamian za przymus mogło ofiarować daleko sięgające przywileje.

Przedewszystkiem „Konfraternia“, jako instytucja dobra ogólnego, była jedynie mocną usunąć kupcowi chrześcijańskiemu najważniejszą zaporę — konkurencyę. W aktach znajdują się niezmiernie cenne wskazówki co do dróg, jakie obierała w tym

celu korporacja, wspomagając „brata“ w walce z niesumiennością kupców żydowskich lub greckich. Znajdziemy tam również liczne ślady wglądania ciała zbiorowego w domowe nieraz stosunki kupców. Na pożółkłych kartach dokumentów odbija się wyraźnie np. spór z kupcem Auem¹⁾ o dobroć sprzedawanego towaru, dalej sprawa „8-miu kupców kolonialnych, obwinionych o potajemne prowadzenie w handlu towarów medycznych“ i wiele innych tego rodzaju zatargów, dla dzisiejszego kupca mało może na razie zrozumiałych.

Spełnienie wszystkich warunków, wymaganych przy zapisywaniu się do „bractwa“, nie było łatwe i dla każdego dostępne. Od kandydata żądano przede wszystkim „posiadania w pełni praw obywatelskich“ i uiszczenia zapłaty wstępnej w ilości „najwyżej 20-tu dukatów i dla pisarza 12 złotych“. Tym, którzy sądzą, że za dawnych, dobrych czasów, owych czasów małych potrzeb i łatwego zarobkowania, kupiec mógł z małemi środkami rozpocząć zawód, opłata 20-tu dukatów wpisowego wydać się musi nieprawdopodobną. Dwadzieścia dukatów—to suma, która przy taniem niezmiernie kornem wystarczała na rok lub dłużej na opłacenie sklepów lub magazynów. Naturalnym porządkiem

¹⁾ Z dokumentów, dotyczących tego sporu, przekonywamy się np., że rodzina panów Au, z której wyszedł znany ekonomista i rolnik, dyrektor szkoły Żabikowskiej ś. p. Juliusz, jest najstarszą w rzędzie kupiectwa polskiego w Poznaniu.

rzeczy da się też stąd wyprowadzić wniosek, że zawodowi kupieckiemu nie poświęcali się ludzie niższych stanów, lecz przeciwnie do pogardzanego przez szlachtę łockia i miarki garnęli się synowie najzamożniejszych mieszczan poznańskich. Wyrabiać to musiało znaczenie kupcom tamtejszym i stawiać ich tuż obok patrycyuszów krakowskich.

Kupcy poznańscy szanowali swój proceder, szanowali siebie. Poczuwając się do wspólnej, korporacyjnej solidarności, widocznie przywiązywali też duże znaczenie do utrzymywania w ręku jednej rodziny danego zakładu handlowego. Jeżeli też członek „Konfraterni“ zszedł ze świata, pozostawiając wdowę i synów, to pierwsza wchodziła bez zastrzeżeń w prawa mążowskie odnośnie do „bractwa“, drudzy na mocy zasług ojcowskich nie potrzebowali odrębnej legitymacji. Dla syna konfratra wstęp do „Konfraterni“ obniżony był do opłaty 6-ciu dukatów i 6-ciu złotych dla pisarza.

Zdawałoby się, że w tych warunkach kupiectwo poznańskie, otoczywszy się murem majątku i pewnej dumy rodowej, wkrótce urobiło się w koło zwarte, w t. zw. klikę, do której dostępu albo wzbroniono, albo utrudniono nadaremnie. Kliki nie dostrzegamy na szczęście wcale w aktach korporacji. Przeciwnie § 13 świadczy bardzo wymownie o tolerancji i braku kastowości u kupców poznańskich. „Na pomocników wolno przyjmować ludzi wszelkiego stanu i wyznania, nawet dysydentów“ — głosi wyraźnie statut. O ile zatem ów

pomocnik był chrześcijaninem, o ile dosłużył się praw obywatelskich, i o ile własną zabiegliwością doszedł do fortuny, umożliwiającej rozpoczęcie handlu na własnę rękę, o tyle mógł liczyć, że prędzej czy później na obradach „Konfraterni“ zasiądzie obok dawniejszych pryncypałów swoich.

Duma i kastowość kupców poznańskich przebija jednak z innego artykułu statutu. Szlachcic pogardzał kupiectwem — kupiec za tę pogardę mścił się na rzemieślnikach. „Żadnemu członkowi bractwa rzemiosłem trudnić się niewolno“ — zastrzeżęga surowo § 2-gi, a nie zdarzył się wypadek, ażeby handlujący przekroczył ten zakaz, „splamił“ ręce rzemiosłem i ażeby echo takiej sprawy odbiło się na papierze dokumentów. Dlaczegoż zresztą miałby członek „Konfraterni“ przekraczać granicę tego, co dozwolone, skoro pod opieką bractwa dzać mu się mogło dobrze? Wszakże do kasy „Konfraterni“ płynęły obficie z wszystkich stron fundusze poważne!

Pomijając już nawet wszelkie kary w postaci czerwonych złotych za niestawienie się na posiedzenie (drugie takie uchybienie opłacało się dubeltowo § 3), do wspomagania zasobów kasy przyczyniały się znakomicie daniny, ściągane od kupców, przyjeżdżających z towarami do Poznania, lub też od nienależących do bractwa, a więc innowierców. Konkurencji ze strony obcych przybyszów mógł się nie lękać „brat“ pod osłoną „Konfraterni“, kupcom bowiem przyjezdnym wol-

no było tylko sprzedawać podczas jarmarków, lub też w oznaczonym dla nich terminie „pod utratą towaru“ (§ 6). Wprawdzie „Komisja dobrego porządku“ ukróciła nieco ten przywilej i zakazała „pobierać cła od kupców zamiejskowych“; wszelako zakaz ten nosi cechę wyraźnej połowiczności. Rozporządzenie odnośnie przypomina znane przysłowie nasze: „nie kijem go, ale -- pałką“. Zabroniono ceł, dozwolono — pobieranie na rzecz bractwa 2-ch złotych od wozu z towarami (§ 9).

Jakim majątkiem rozporządzało bractwo, i z jakim mianowicie stała „Konfraternia“ pod względem bogactwa swego u zenitu, to kwestja wgłębiania się właśnie w archiwum, na które tutaj zwrócić tylko pragnąłem uwagę. Jedno wszelako jest rzeczą pewną, że fundusze „Konfraterni“ nie służyły bynajmniej na cele powszednie, ani też nie płynęły bystrym strumieniem na hulatyki sług Merkurego. Dary dewocyjne, zakupna mszy i t. p., lubo hojne, nie czyniły również uszczerbku „ladzie“ kupieckiej.

Płużąc w zbytkach, w dogadzaniu sobie, nie oglądał się mieszczanin poznański na zasiłek z tej strony, ci zaś, którzy sterowali nerwem „Konfraterni“ — kasą, mieli aż nadto powodów do czerpania z funduszy ogólnych dla utrzymania kupiectwa na tej stopie, na jakiej pragnęli je utrzymać. „Konfraternia“ musiała dbać o arterje komunikacyjne, które były i będą zawsze podstawą prawidłowości handlu. Dziadowie i pradziadowie poznańscy

rozumieli równie dobrze, jak i dzisiejsi ich następcy, że ułatwienie dowozu jest kardynalnym warunkiem dla rozwoju interesów kupieckich. Bractwo przeto, nie oglądając się wcale na pomoc sejmów i królów, zajęło się wytknięciem i utrzymaniem dróg, traktów, wiodących w różne strony kraju i po za jego granice. Dla utrzymania zaś traktów w znośnym porządku należało utrzymywać strażę, które do pewnego bodajby stopnia zabezpieczały całość mienia i osoby transportującego towary kupca.

Gdyby „Konfraternia“ poznańska nie była w ciągu wielu wieków istnienia nic więcej nad to zdziałała, już przyznaćbyśmy jej musieli pierwszorzędne znaczenie kulturalne.

Miało jednakże bractwo poznańskie drugi, nie mniej piękny rys: starało się usilnie o rozwój przemysłu na ziemi wielkopolskiej. Rys to i piękny i znamieny zarazem. Ci sami patrycjusze, grożący utratą majątku każdemu z „braci“, którzyby śmiał trudnić się rzemiosłem, czuli doskonale, że dobrobyt kraju polega nie na pośredniczeniu pomiędzy wytwórcą a nabywcą, lecz na wyrobieniu silnego, zdrowego, materialnie zabezpieczonego przemysłu. Ten „niższy“, „pośledniejszy“ gatunek mieszczan t. j. rękodzielnicy mieli w „Konfraterni“ pokaźnego opiekuna. W aktach „Konfraterni“ widzimy ślady wielkiej dbałości kupców o przemysł krajowy.

„Ponieważ w Poznaniu, Rawiczu i Bojanowie — czytamy — istnieją fabryki świec, zupełnie

wytrzymać mogące porównanie obcokrajowych wyrobów, przeto zakazujemy prowadzenia innych świec w handlu pod karą konfiskaty majątku“. Ażeby zaś klasztory, które wogóle często stawały w kolizji z interesami bractwa (handlując np. winami) nie wyzyskały tego przepisu na swoją korzyść i nie zarzuciły rynku wyroby swojemi, tamując rozwój fabryk rawickich lub bojanowskich, przezorni starsi konfratryzy dodali zastrzeżenie: „Klasztorom wolno tylko dla własnego użytku świece wyrabiać“.

Nam, patrzącym z odległości wieków, na zabiegi tych pionierów handlu na ziemi wielkopolskiej, niejeden szczegół wydaje się czasami śmiesznym, czasami niezrozumiałym. Dla badacza jednak, który z uniłowaniem przedmiotu zabiera się do wertowania papierów archiwum „Konfraterni“, te śmieszności pozorne lub niezrozumiałości dają sumę rozkoszy prawdziwych. Niezawodnie też „Konfraternia“ doczeka się swego monografisty.

Ażeby temu historykowi ułatwić zadanie i zachęcić go do studjów tak bardzo wdzięcznych, podajemy tutaj

Spis dokumentów, aktów i przedmiotów,
posiadających wartość historyczną, a znajdujących się w posiadaniu Korporacji.

1) Dokument Stefana Batorego z dnia 23. czerwca 1576 r.

2) Dokument podpisany przez króla Zygmunta III, z roku 1629.

3) Dokument Władysława IV. z dnia 17 lutego 1633 r.

4) Dokument Rady Poznańskiej z roku 1633.

5) Dokument Władysława IV. z dnia 26 lutego 1633 r.

6) Dokument Jana Kazimierza z dnia 6 lutego 1649 r.

7) Dokument Michała Korybuta Wiśniowieckiego z dnia 29 października 1669 r.

8) Dokument Jana III. Sobieskiego z dnia 9 a 20 maja 1676 r.

9 a) Dokument Jana III Sobieskiego z dnia II Września 1688 r.

9 b) Dokument Jana III Sobieskiego z dnia 30 kwietnia 1687 r.

10) Dokument Augusta II z roku 1697.

11) Dokument Augusta II z roku 1714.

12) Dokument Augusta III z dnia 24 września 1739.

Powyższe dokumenty, nadające ważne przywileje ówczesnemu Bractwu kupieckiemu, a dzisiejszej Korporacji, pisane są ozdobnie na pergaminie, opatrzone własnoręcznym podpisem odnośnego króla, a uprawomocnione pieczęciami koronnymi.

Z dokumentów pergaminowych pozostały niestety tylko te wyżej wymienione, z tem większą pieczołowitością przechowują się one w wygodnej, blaszanej skrzynce.

Reprodukcje tych dokumentów, ich odpisy,
podajemy obok.

Zawartość „lady” w Konfraterni.



Oprócz powyższych przywilejów posiada Korporacja w osobnej szafie znaczny zbiór różnych akt, ułożonych jak następuje:

Serja	I.	obejmuje 5 zeszytów od r.	1444—1796.
"	II.	" " " 6 " " "	1797—1812.
"	III.	" " " 4 " " "	1799—1837.
"	IV.	" " " 5 " " "	1714—1850.
"	V.	" akta reprezentacyjne	1794—1802.
"	VI.	" akta z roku . . .	1854.
"	VII.	" 17 zeszytów od r.	1793—1840.

Z pamiątek, pozostałych z dawniejszych czasów, posiada Korporacja:

- 1) Pisarkę srebrną z ozdobną przykrywką.
- 2) Dzwonek mosiężny z napisem niedość już wyraźnym „Johannes A.... find... ef,ecit”.

3) Pieczęć do laku. Napis, dokoła łaciński: „Sigillum Confraternitatis Mercatorum Posnaniensis;“ środek pieczęci dzieli się na cztery oddziały, z których pojedyncze wyobrażają oznaki kupieckie, a więc mamy tu: okręt, wagę, winogrono i snop. Wszystko to otoczone wieńcem, na którym górami spoczywa korona, nad nią unoszą się na krzyż złożone dwa klucze.

Jak widzimy, jest z czego czerpać, potrzeba więc tylko do wertowania pozólkłych papierów zabrać się szczerze, z umiłowaniem przedmiotu i znajomością rzeczy.

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Emisarjusz Centralizacji Wersalskiej	1
Pohulanka Partyzancka i „Rzeczpospolita Poznańska”	11
Juljusz Słowacki jako agitator rewolucyjny w Poznaniu.	23
Ksiądz-apostata i fanatyk demokratyczny	37
Cicha miłość kobiety wielkiego serca	51
Rojenia czterech poetów o Polsce idealnej	67
Gorszący zatarg nad prochami królów polskich i samobójstwo magnata wielkopolskiego	79
„Marcowe Dni” i sojusz prusko-polski w r. 1848.	99
Wielkopolski Muciusz Scaevola	113
Wynalazca płynu do płętnowania powstańców polskich	127
Konfraternia kupiecka w Poznaniu. Wskazówka dla badaczy dziejów handlu i przemysłu polskiego.	137

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

B76120

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki